

ŚMIAŁO



PAN ANTONI.

(Dokończenie).

IV.

— Przeżyłem w życiu — zaczął pan Antoni — trzy chwile, które nie wiem jak nazwać, ale których nie życzyłbym dziś największemu wrogowi. »Najciekawszą«, rozumie się, jest ta, od której się zaczęło i o której mówię tak często. Dlaczego jednak mówię o niej jednej, a milczę o drugich, również sam nie wiem dobrze. Chyba dlatego, że tam jest mówić o czym, a tu o niczym, oprócz jak o myślach swoich. Tam odrazu dostałem, jak kulą w łeb; świece w oczach mi stanęły, ale też i zgasły odrazu, więc też kwita z myta, panie dobrodziej! Niema o czym i gadać dalej! Tu co innego, nie mówię już o trzeciej chwili, która o mało mnie rozumu nie pozbawiła, bo to dziś do rzeczy nie należy, ale o tem, co ze mną było, kiedy leżałem w onej jamie, w którą wlałem, jak kura do wody. Tu już byłem sam jeden z myślami swymi i po coś mam ludziom pokazywać to, co nie jeden może i wyśmiewać zacząć i co gorsza, wyśmiewać dla tego, że ja źle opowiem to, co w każdym razie śmiesznem nie jest.

— Ale jeżeli dziś, mój bracie, kochając mnie, mówisz mi, że powinienem inaczej postępować, że to mój obowiązek, to nie mogę odpowiedzieć ci krótko, że ja nie znam takiego obowiązku, ale muszę powiedzieć dlaczego nie uznaję go nigdy.

I długo znowu siedzi pan Antoni pogrążony w głęboką zadumę. I lulka sumiennie nałożona i wypalona zgasła już dawno i usta już mu się kilkakrotnie otwierały, wydając jakieś nieokreślone dźwięki, pan Antoni jeszcze milczy. I słusznie. Świadomie czy bezwiednie czuje on, że mówić ma o narodzinach tych pojęć swoich, które dziś są istotą jego człowieczeństwa, o tem, co choćby i źle opowiedziane »śmiesznem jednak nie jest.«

Chwała Bogu, podnosi się on nareszcie. Znak to niechybny u ludzi podobnych, że myśl już żywiej w nich zagrała. Żywsze poruszenia ciała popchną znowu i myśl samą do szybszego ruchu i aparat skomplikowany snuć zacznie złotą swą przędzę.

Czego sierpień nie dowarzy,
Tego wrzesień nie doparzy.

W pierwszym tygodniu pogoda stała —
Będzie zima długo biała.

Lekarstwo często nie służy —
W sierpniu, jeśliś zdrow i duży.
Nie skąp sobie, nie cierp głodu,
Wypij spory kufel miodu.

Wawrzyniec pokazuje.
Jaka jesień następuje.



Rzeczywiście, nie obszedł pan Antoni swego pokoju i dziesięciu razy, gdy ujrzałem przed sobą twarz jego z wyrazem tak żywego zapytania, iż gotów już byłem przypuścić, że prawdziwie pytanie owo przeżył, gdy zaczął on wreszcie.

— I co to z człowieka — zapytywał on powoli i z westchnieniem głębokim — ludzie zrobić mogą?... Niech ich kule biją, powtarzam teraz z przyzwyczajenia, ale jak i co ja wtedy powtarzałem, dziś już tego nie powtórzę.

— Kiedym się zwał i usłyszał, co się dzieje, wróciła mi przytomność i pierwsza myśl, co mi przyszła do głowy, była, że i ja uciekłem także..

— Ee hola, podli! Tak nie będzie, hańby nie zniosę! Z kordelasem, jak wściekły, rzucę się w kupę i oddam życie marne — i kordelas w ręku ścisnąwszy, dźwignąłem się do góry.

— Tu jednak zaczęło się to, czemu i w bajkach niesłychałem wcale.

— Głowa mi gore, ale nogi, ręce, czuję, zlewać mi zaczyna pot zimny.

— Jezus, Marya czyż ja nie wstanę?

— Zebrałem jeszcze raz siły, wykręciłem się z wysiłkiem, dźwignąłem się trochę i jak snop upadłem twarzą w jamę.

— Ee, żarty, panie bracie, panie losie głupi! uparłeś się ty, ale uprę się i ja! Czy to ludzi mi wciąż zabijać, czy po to wstaje, czy to mało ich dziś nazabijałem? Dwururki w rękach utrzymać nie można było, a oko nie chybiało, ręka nie drżała mi przecie? Dosyć więc tego. Niechże i mnie zabiją.

— Powietrza nabrałem pełne płuca, wykręciłem głowę, jak mogłem, i »bywaj, ktoś żyw!« wrzasnąłem z całej mocy.

— Wrzasnąłem, powiedziałem, alem źle ci powiedział, jam chciał wrzasnąć, a zaledwie wyszeptalem słowa swoje.

— Razem z siłą i głos straciłem.

— Pot zimny oblał mnie całego i jak skiba ziemi, pługiem poderznięta, leżałem rozciągnięty na dnie jamy.

— Błysła mi wtedy ostatnia nadzieja, rozpacz już podsunęta.

— Zabiję się, kordelas ostry wsadzę w siebie, żyły poprzetrzymam. Kordelas jednak upadł mi gdzieś; był podemną czy z boku może, a ja?... I co to ludzie z człowieka zrobić mogą? Ja już nie tylko całym sobą, ale i ręką ruszyć nie mogę...

— Łzy strumieniem popłynęły mi wtedy z oczu na ziemię surową...

Pan Antoni przestał mówić.

— Jeszcze z początku — zaczął on po chwili — dopóki słyszałem latawicę, krzyki, głosy ludzkie, ot, ot lada chwila, myślałem, wyciągną mnie, ale gdy ucichło wszystko i cisza zapanowała koło mnie, poznałem, że jestem bezpowrotnie zgubiony i wtedy to, jak młotu uderzenie bić mi w uszach zaczęło: hańba, hańba!

— W jednej chwili zrozumiałem, że to, czemu w zaślepieniu sam pragnął przed chwilą, żeby mnie ztąd na śmierć wyciągniono, spotka mnie teraz i spotka niechybnie.

— A pohańbiony ja jeden będę.

— I nikt ze mnie tej hańby nie zdejmie, ze mnie, com sam jeden, jak dudek na kościele, stał do końca, nic nie widząc i nie słysząc koło siebie.

— Jak oszalały rwać się wtedy jeszcze raz ze swego grobu zacząłem.

— Zziajany, mokry cały, leżałem znowu po chwili, jak kłoda. Zimno trząść mnie zaczęło, a głowa jak w ogniu prawdziwym zapalała...

Pan Antoni przerwał znowu.

— Eech, mój bracie, zaczął on wkrótce, niebyłeś ty w wojsku, to nie wiesz, co to znaczy, gdy chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, staną w zwartym szeregu?

— Toć to z jedną duszą, jedno ciało wielkie!

— Nie wierz w te baśnie, że i najodważniejszy w boju strach poczuje. Jako żywo, kłamstwo to szczerze. Jakżeż strach ci poczuć, jak pomyśleć o tem, kiedy myślisz nie o sobie, kiedy widzisz, słyszysz i czujesz, że piersi twoje — to piersi tysiące, że głowa twoja — to głów szeregi, a w piersiach tych serce jedno, a w głowach nie oczy — ale ognie gorejące?

— Tak myślałem, tak czułem, tak wierzyłem w to wszystko, jak w Boga ukrzyżowanego.

— I kiedym stanął na swem miejscu, złożył się i wypalił, tom czuł tylko, że lecę, jak na huśtawce, jakby w głębinę jakąś, że siła jakaś wielka mnie trąciła i ogarnęła całego.

— Nie czułem już swej marności.

— Po pierwszym strzale powiodłem okiem wokoło. Chłopy, jak dębczaki, oczy — węgle żarzące, a ręce jak śmigownice latają. Serce mi drgnęło; drgnęło, bracie, jak tej matce, gdy życie nowe w sobie poczuje.

— »Ależ, Antku, chłopcze, pomyślałem też zaraz, bójże się Boga, gdzież rozglądać się teraz? pilnuj się, nie pokpij sprawy i nadażaj jak trzeba.«

— Co więc było dalej koło mnie, już nie wiem.

— Wpiłem się oczami przed siebie.

— Bałem się, że zgine wprzód, nim wszystkie naboje wystrzelę.

— Boć pięćdziesiąt ładunków — to nie ziarno grochu z ust wypluć.

— Ręceć, co prawda, inne i oko nie dzisiejsze były. Bywało sarenka mignie tylko między drzewami, to kiedy dziś i na pięcie nie zdążyłbym się wykręcić, a tu: brzdęć! i fajt, panienczko!

— A zwijać się jednak musiałem, jak się i pi-skórz na patelni nie zwija!

— Co nie plunę z dwururki »naści, hyclu!« nie pomyślę, ta i »walże i ty, zbóju!« powtarzam też święcie. I do głowy mi nie przychodzi, że ja wyjdę ztąd żywy. Ja już Panu Bogu za śmierć swoją dziękuję, abym chwilę, abym sekundę miał wolną. »Przyjmij mnie, Panie, bom niegodzien oglądania chwały Twojej«, powtarzam, jak modlitwę przedśmiertną i raptem... ta chwila okropna... chwila, co, jak piorun Boga zagniewanego, spaliła mi wszystko, jedno to życie zostawiając...

Pan Antoni umilkł. Umilkł; dość jednak, przełotnie rzucić nań okiem, aby się przekonać, że wraz z ostatnim słowem o owej chwili strasznej, zanika w nim i stan wspomnienia jej wywołany. Zmora hańby i poniżenia nie gniece go więcej. Wąsy jego poruszają się, oczy wpiły się przed siebie i błyszczą natchnieniem, jak w ów dzień, gdy drgające weń serce układało mu usta zapiekłe w szepcie modlitwy samoofiarniej.

Czy widzi on przed sobą owe serca, owe głowy ogniem gorejące? Gdzież one? Tu ich niema i wyobraźnia jego tak chorobliwie nie marzy.

Cóż tedy porusza go? Jaka siła wielka trąca go teraz swem skrzydłem tajemniczym i ogarnia całego?

Pan Antoni długo milczeć nie może.

— Ja nie chcę być zbrodniarzem! — woła on głosem podniesionym, a w głosie tym brzmią cudne dźwięki tej siły, co tchnieniem swem czarownem zarówno starca zgrzybiałego, jak i młodzieńca pełnego sił na piedestał wysoki podnosi.

— Ja niechcę być zbrodniarzem! — woła on głosem wielkim, a w głosie tym brzmi czysty, jak łąka, wspaniały, jak świat, potężny akord tego hymnu boskiego, co miłością bliźniego się zowie.

— Nie chcę być — powtarza — bo zbrodnią jest wielką zostawić człowieka, jak mnie zostawiono; bo leżąc tam ziemią zasypany przysięgałem Bogu, że nigdy nikogo tak nie opuszczę, jak mnie opuszczono; że nikt, choćby wróg, gdy to w mocy mojej, tak przeklinać nie będzie, jak ja przeklinałem; że nikt, choćby wróg, gdy to w mocy mojej, nie zajęczy tym jękiem wielkim, jakim ja wtedy jęczałem.

Głos pana Antoniego upada raptownie — siły widocznie opuszczają go. Nie zejdzie on jednak ze stanowiska... I rzeczywiście pan Antoni upiera się, odpycha mnie prawie, gdy sadzać go zaczynam i wsparty o stół, kończy urywkami, głosem cichym, ledwie słyszalnym nieraz.

— To też dziś, choćbym wroga, choćbym bydlę nieme zobaczył w opuszczeniu, patrzeć na to nie mogę.

Chutor Otrada pod m. Żyzdrą w gub. Kałuskiej.

— Widzę bowiem przed sobą ona chwilę, gdym się obejrzał i zamiast ludzi żywych, pnie drewniane zobaczył...

— I ona jamę grobową i w jamie tej siebie żywcem pogrzebionego i ciszę okropną koło siebie...

— Ta cisza straszna otacza każdą niedolę.

— Bo to życie, te zabiegi i kłopoty ludzkie nie dla oczu i nie dla uszu opuszczonego.

— On nie słyszy nic, jak nie słyszałem i ja, gdy mi kule koło uszu świstały.

— On nie widzi nic, jak nie widziałem i ja, gdy mi hańba cały świat boży swym całunem zasula.

— Na cóż mi te grosze nieszczesne?

— Niech raz zczęźnie ich siła przekłeta!

— Czyż mam nosić i kryć to, na czym może i klątwą już legła?

— Może ja dla tego chłopą byłem już ostatnim żywym człowiekiem, którego nie znalazłszy, on ujrzałby się wśród ludzi drewnianych?

— Za takie pieniądze niechcę wracać!

— Piesz dowlokę się powoli...

— A nie dowlokę się? Pal je lichu cielsko grzeszne!

— Niech gnije, gdzie będzie...

— Ale dusza... bracie?... dusza mi pozostanie.

ADAM SZYMAŃSKI.

KOBIECE DOLE.

IV.

PANI URSZULA.

(Dokończenie).

Naprzeciwno, ponad skwerem i basenem wodotrysku, ponad starożytnymi domami Krakowskiego Przedmieścia, widać było najwyższe, imponujące masy gmachu teatralnego i smukłą ratuszową strażnicę, na ganku której krążył zwolna strażnik, upatrując, czy gdzie pożar nie zagraża mieszkańcom, a dalej, posuwając się ku wschodowi, widać było piękną kopułę ewangelickiej świątyni, panującą czystymi liniami konturów, nad mnóstwem dachów, kominów, załomków i szczyb, utworzonych przez szczyty domów, po których ślizgało się oko; z po za kopuły zbliżone perspektywicznym złudzeniem, wysuwały się bliźnięce wieżycy świętokrzyskie. Niedaleko od nich, wysunięta ku górze, błyszczała gloryetka narożnego domu, a na wschodzie samym, po prawej ręce, kościół karmelicki z licznymi krzyżami na załomkach dachu, wznosił nad frontonem olbrzymią kulę z kielichem i hostyą.

Kobieta spoglądała na ten widok, znany sobie dobrze, szklanemi oczyma i raz wraz spuszczała je ku ziemi, ilekroć kroki wczesnego przechodnia przerwały ciszę poranka, bo w miarę posuwania się słońca ruch robił się na ulicy. To pracownik dążył do swego warsztatu lub fabryki, to gospoia szła z koszykiem zaopatrzyć się pierwsza na targu, to pobożna kobieta biegła do kościoła. Czasami też chyłkiem, niepewnym krokiem powracał do domu ktoś zapóźniony, ale nie było pomiędzy nimi pana Józefa.

Z każdą chwilą ostatnie nadzieje czekającej znikwały — widocznie on nie miał powrócić! Załamała ręce. Więc mąż jej utracił nawet wstyd wszelki. Cóż będzie dalej z nią, z dziećmi? Co wobec tego czynić miała? Więc całe jej poświęcenie, cierpliwość, uległość, rezygnacja, z jaką znosiła położenie trudne do wytrzymania, wszystko, co miało pociągać serce mężczyzny i przywiązywać małżonka, doprowadziło ją do takiego rezultatu?

Do tego żalu niewyznanego, który nigdy nie wyraził się słowem żadnym, ale pomimo to tkwił w sercu pani Urszuli, dołączył się niepokój innego rodzaju. Zapytywała samej siebie, czy mąż jej nie uległ jakiemu wypadkowi? Nie mogła sprawdzić tego w żadnym razie, bo i gdzież się udać? Stosunki męża były dla niej zupełnie obce, tajemnicze; szukać go w biurze zaś, byłoby to oskarżyć go głośno — nawet w biurze jego nie była nigdy.

Ona pragnęła osłaniać go w każdym razie, i z drżeniem oczekiwała chwili, kiedy zbudzą się dzieci, służąca, i gdzie fakt, że on noc spędził za domem, stanie się wszystkim wiadomy.

Wówczas przyszło jej na myśl rozrzucić łóżko w jego pokoju, następnie pokój zamknąć, wyprawić dzieci do szkoły, służącą wysłać na miasto i powiedzieć, że mąż wyszedł w czasie ich nieobecności. Uczyniła to na wszelki wypadek, ażeby uniknąć zapytań i komentarzy.

Miasto zawrzało codziennym ruchem i wszystko szło dalej swoim trybem w domn i po za domem. Ona patrzyła na to z ściśnionem sercem, pożerana strasznym niepokojem, drażniona każdym głosem, każdym ruchem,

nasłuchując ciągle, nieustannie, czy nie przyjdzie jaka wiadomość. Ale nadeszła obiadowa pora i znów oczekiwano nadaremnie pana Józefa.

Nie doczekano go się ani dnia tego, ani nazajutrz, ani dni następnych; — przyszedł tylko woźny z biura instytucji, w której pracował, zapytując, co się z nim dzieje? Dopytywano się o niego tem skwapliwiej, że razem z nim zniknęła znaczna suma, którą dla tej instytucji podnosił.

Wiść ta gromem uderzyła nieszczęśliwą kobietę. Więc mąż jej, ten człowiek, którego otaczała czcią, przed którym się korzyła, którego bez wahania spełniała rozkazy, był prostym złoczyńcą, zasługiwał na kajdany i nosiłby je, gdyby go pochwycono.

HELENA KOSSOBUDZKA.



TYP MONACHIJSKI.

cowała bez skargi. Czasem tylko zatrzymywała się nagle igła w jej ręku i ona sama pozostawała bez ruchu, jakby oczekując, lub nasłuchując czyich kroków. Było to zapewne przyzwyczajenie z owych lat, w których czekała na męża z obiadem i herbatą. Teraz może czekała wieści o nim? Czy kochała go jeszcze? Czy kochała go kiedy? Któż to mógł wiedzieć. Ona sama może nie zdawała sobie sprawy z tej palącej rany, co tkwiła w jej piersi. On tak długo zappełniał całe jej istnienie, był treścią myśli, uczuć, marzeń, nadziei, iż bez niego serce stało się podobne do ołtarza bez bóstwa, lub gorzej jeszcze — do ołtarza ze sprofanowanym bóstwem.

Oczekiwania jej były daremne — nigdy od męża nie doszła ją wieść żadna, a ona stawiała się codziennie bledszą, smutniejszą i bezsilną, aż nadszedł dzień w którym nie mogła ruszyć się z posłania, i nie było więcej słyhać w jej izdebce warczenia maszyny.

Wówczas nędza, z którą walczyła do ostatniej chwili, wkroczyła do izdebki i usiadła przy jej wężglowiu, a ona z oczyma wlepionymi w dzieci, — pozostać mającymi na łasce losu — czekała.

W obec zbrodni popełnionej względem społeczeństwa, malała i nikła zbrodnia spełniona przeciw rodzinie. Zbrodnia ta jednak zaciężyła całą potęgą nad niewinnymi. Za panem Józefem wysłano listy gończe, a tymczasem położono sekwestr na wszystko, co do niego należało. Żonie i dzieciom nie pozostało nic, prócz kilku niezbędnych sprzętów — byli oni nietylko zhańbieni, ale pozbawieni chleba i dachu.

Pani Urszula opuściła wygodne mieszkanie w pryncypalnej dzielnicy miasta i wyniosła się aż za Wolskie rogatki, do małej izdebki z kuchenką, i te nawet najęła z trudnością. Nieszczęście jej nie należało do liczby tych, które wzbudzają współczucie, hańba męża spadała na nią, samo nazwisko wzbudzało odrazę.

— To żona tego, co... — powtarzano zwykle półgłosem, spoglądając na nią ciekawie. Słowa te słyszała wszędzie, gdzie się obróciła, uciekała przed nimi w głąb izdebki, a przecież słyszała je w szmerze wiatru, w gwarach dalekiego miasta, słyszała je we śnie, a nade wszystko słyszała w biciach piersi własnej, wówczas, gdy sen odbiegał od jej powiek, a widma dni minionych i tych, co nadejść miały, otaczały jej twarde łóżę, przejmując ją żalem i trwogą. Wszędzie, gdzie się zwróciła, budziła nieufność. Posadzono ją o współnictwo, jakkolwiek przeciw podobnemu oskarżeniu protestowało jej ubóstwo.

Kiedy jednak idzie o potępienie bliźniego, ludzie gotowi są uwierzyć nawet w niepodobieństwo.

Pani Urszula na maszynie, która stanowiła dzisiaj cały jej majątek, zapracowywała się, ażeby dać chleb dzieciom; żyła gorzej od ostatniego wyrobnika, a pomimo to, upierano się sądzić, że odgrywała komedję, miała udział w kradzieży, popełnionej przez męża i zapewne wkrótce się z nim połączy. Gdyby panią Urszulę doszły podobne mowy, miałyby prawo uśmiechnąć się boleśnie, ale usta jej ścięte, nawet na uśmiech boleści zdobyć się nie mogły. Upadała pod brzemieniem ciężkiej doli, doli bez osłody żadnej. Imienia męża nie wymawiała nigdy, a jednak on musiał być nieustannie obecny jej pamięci.

Przywykła do ciągłej ofiary, do zapomnienia o sobie, do znoszenia w milczeniu, teraz także pra-

WALERYA MARRENÉ.

ŚWIAT PRZYSZŁOŚCI.

(Ch. H. Pearson: National Life a Character, a forecast, 1893).

Najznakomitszą — bez najmniejszego wątpienia — książka, która wyszła w Anglii na widok publiczny w ostatnich czasach jest ta, której tytuł wypisaliśmy tutaj. Autor postawił sobie jako zadanie, wykazać do jakiej przyszłości zdąża ludzkość i odsłonić przed nami tajemnice dni i wieków pojutrzejszych. Ponieważ wywody jego są ściśle naukowe, wykluczające z góry wszelką fantazyę i grę wyobraźni i ponieważ jako przesłankę podają nieprzebrany zasób faktów z całego obszaru cywilizowanego świata czerpanych, łatwo zrozumieć wrażenie, jakie wywołały. Spotęgowała je jeszcze metoda, jakiej się autor trzyma, metoda ściśle obiektywna, spostrzegawcza, pozbawiona do tego stopnia wszelkich apriorycznych teoryj i osobistych zapatrywań, że trzeba odgadnąć tylko — i to nie bez trudności — po jakiej stronie leżą jego sympatye i co sądzi o wyglądzie cywilizacyi, jaki mu się wydaje nieuniknionym w przyszłości.

WIELKOPOLSKA W OBRAZACH przez L. STASIAKA.



KOŚCIÓŁ ŚW. JANA.

GNIEZNO.

KOŚCIÓŁ ŚW. WAWRZYŃCA.

jego uwagę na przypadłości i koleje, jakie sobie ludzkość w ogóle, a świat anglo-saksoński w szczególności, świadomie lub nieświadomie przygotowuje. Książkę, w której wyluszcza, jakie będzie życie i jaki charakter przyszłości, autor nazwał otwarciem przepowiedni, ale nie ma on żadnej cechy zwykłych wróżbitów. Nietylko bowiem nie przychodzi pochlebiać naszej miłości własnej, i nie kreśli nam różowych obrazów, upajających naszą wyobraźnię, ale z prawdziwą odwagą kruszy najgłębiej zakorzenione w nas przekonania i nadzieje. Optymistyczna wiara w postęp ludzkości, w tryumf ras wyższych, instytucyj liberalnych, pokoju, wiedzy i t. d. stanowi, jak wiadomo, sam rdzeń, samą istotę umysłowej organizacyi współczesnej. P. Pearson żelazną maczugą powala cały ten gmach powietrzny i wykazuje na cyfrach i historycznych przykładach, z matematyczną ścisłością, że jesteśmy w całkowitym błędzie i że przygotowujemy sobie zawodów niemało. Nigdy pesymizm nie wypowiedział słów poważniejszych i straszliwszych, a właśnie naukowy spokój z jakim formułuje swe wyniki, przyczynia się do wywołania dreszczu zgrozy. Jedyną nadzieją, jaką wyrazili krytycy, nadzieją, którą dzielić nam wolno, była, że autor pominął niektóre czynniki cywilizacyjne, a przecenił znaczenie innych; jeżeli zatem wnioski jego są przerażające, to nie ich fałszywość, ale ich przesada wyrzucaną być mu winna. Nie wielka to pociecha, ale zawsze pociecha!

Pierwsza zasadnicza teza, którą się dotąd nasza miłość własna kołysała, dotyczyła wyższości rasy aryjskiej nad innymi żółto i czarnoskórnymi. Z wytrzebienia Azteków albo miedzianoskórych Indian podobano się nam wnioskować, że wytrzebimy i inne; z góry przypisaliśmy sobie władzę i zwierzchnictwo na całej kuli naszej od bieguna do bieguna. Niemilośnie zdzierają autor łuskę z oczów naszych i udowadniają, że właśnie rasa najwyższa, biała, pochłonięta być musi przez niższe, mniej rozwinięte i pogardliwie przez nas traktowane. Chińczycy, Hindusy, Malaje i mieszkańcy Ameryki środkowej nabędą niepodobnej do pokonania liczebnej przewagi. W zwrotnikowych strefach Azji, Ameryki i Afryki, w całym wnętrzu tej ostatniej, rasa biała nie może się rozplądzać, podczas gdy żółto i czarnoskórzy żyć tam i rozmnażać się mogą bez najmniejszego wysiłku. W obec 400 milionów Chińczyków, 250 milionów Hindusów i 150 milionów murzynów, schodzimy już obecnie do mniejszości, a stosunek ten będzie się jeszcze stawał groźniejszym w miarę postępu czasu, skoro my się rozplądzamy w stosunku do nich jak 12 : 100. Przykład, na który autor kładzie wielką wagę dostarczają mu polscy i rosyjscy żydzi: rasa niższa i upośledzona rozplądza się mimo napozór niekorzystnych warunków w sposób groźny dla rasy miejscowej.

Następstwa tej liczebnej większości ras niższych leżą na dłoni. Gdy Chińczykom stanie się za ciasno w ich własnych granicach, zaleją kraje ościenne: Turkestan i Persję z razu, archipelag malajski następnie. Jest tam dość miejsca dla setek milionów ich rasy, ale że i Australia będzie przez nich zalana w przyszłości dalszej, jest równie wskazanem. A postęp Chińczyków oraz innych ras współzawodniczących z naszą, rozwinię się tem szybciej, że dokładamy bez ustanku starań do podniesienia ich cywilizacyjnego poziomu, do dostarczenia im środków i narzędzi rywalizowania z nami. Gdy Chiny o kilkuset milionowej ludności posiadać będą armię potężną, staną się przeciwnikiem do pokonania niełatwym. Już obecnie każdy bystrzejszy umysł przestał wierzyć w urzeczywistnienie mary o rozbrojeniu, o wiecznym pokoju. Stan Europy czyni istnienie wielkich sił zbrojnych koniecznością; konieczność ta wzmoże się jeszcze, gdy narody europejskie oprócz swoich sąsiedzkich zatargów, będą miały do walczenia z coraz groźniejszym najazdem rasy żółto-skórej. Anglia, Rosja, Francja skazane są na utrzymywanie silnych armij, a *ipso facto*, inne mocarstwa iść będą w ich ślady. Organizmy wojskowe, które sentymentalizm abstrakcyjny skazał był na zagładę, mają zabezpieczone przed sobą długich wieków istnienie. Czy narody cywilizowane będą w stanie oprzeć się temu najazdowi barbarzyńców, jest pytaniem, na które historia daje odpowiedź! Raz już świat wyższy, rzymskie mocarstwo, stało się pastwą dziczy barbarzyńskiej. Trzeba było prawie dziesięciu wieków, zanim się z tego chaosu nowy świat wytworzył. Obecnie czynniki są innej natury: starcie ras będzie straszliwsze, ferment gwałtowniejszy, a jaki jego ostateczny wypiód, myśl najśmielsza nie śmie z góry przewidzieć.

Idąc o krok dalej w swej argumentacji, p. Pearson stawia sobie pytanie, jaki będzie urząd, jaki wygląd państwowego i społecznego organizmu w wiekach przyszłych, gdy nasz świat biały będzie coraz bliżej zagrożony falą innorasowych najeźdźców. Jeżeli brak nam będzie liczebnej siły do ich pokonania, ażeby posiadać będziemy moralną? Na pytanie to

nie odpowiada wprost, ale pozwala odpowiedzieć samemu czytelnikowi. Zostawiając kwestję rasowej rywalizacji w odwodzie i trzymając ją tylko zawieszoną nad głowami naszymi, jak nieustanną groźbę, zajmuje się przedstawieniem organizmu społecznego takiego, do jakiego zdążamy mniej lub więcej szybko, ale zgodnie na całej przestrzeni naszego postępowego świata.

Socjalizm państwowy: oto forma, w jakiej coraz jawniej krystalizuje się cywilizacja nasza. Na miejscu dawniejszej siły indywidualnej staje obecnie siła zbiorowa, uosobiona w państwie; wszystkie organizmy pośrednie: rodzina, parafia, cech, korporacja, gmina, prowincja, tracą swój byt samodzielny i przelewają swe atrybucje na państwo. To ostatnie coraz szerszy krąg działalności sobie zakresliło i udało mu się już nie tylko wyrugować najsilniejszy z dawniejszych organizmów — Kościół — ze swego przewodniczącego stanowiska, ale nawet zastąpić go w wielu jego funkcjach. Prawda to może być nieprzyjemna, ale że jest prawdą, wątpić nie ma się już prawa. Autor bierze jako przykład świat anglo-saksoński, ten właśnie, w którym zasada indywidualnego początkowania i energii była najbardziej uwydatniona i pokazuje, że nawet wśród tej społeczności zasada ta ustępuje miejsca przed naciskiem państwa, i że socjalizm państwowy z każdym lat dziesiątkiem, z każdym rokiem czyni nowe zdobycze. Państwo wydarło rodzicielskiej władzy prawo bezwzględne kierowania dźwiatw; ono zajmuje się młodem pokoleniem, kształci w swych szkołach, opiekuje się w fabrykach i warsztatach, miesza się do kontraktów pomiędzy chlebobawcami a robotnikami, dba o zdrowostan publiczny i indywidualny, dostarcza nie raz żywności, przepisuje warunki sprzedaży, dostawy i wymiany produktów, zabezpiecza życie, przychodzi w pomoc w chorobie, ogranicza godziny pracy, gotowe jest ograniczyć minimum zarobku, a przez coraz większe zagarnięcie form i sposobów wytwórczości, przez emancypowanie jednych klas, przez systematyczne znoszenie przywilejów drugich, przygotowuje całkowity przewrót w ekonomicznym ustroju społeczeństwa. Być może, że osobnik, wobec tylu dobrodziejstw otrzymanych od państwa, czuć będzie względem niego nadzwyczajną wdzięczność i spoglądać nań będzie jak na ziemską Opatrzność, ale nie można podać w wątpliwość, że moralnem następstwem państwowego socjalizmu będzie osłabienie indywidualnych charakterów. Dawniejsza oryginalność ustąpi miejsca mechanicznej jednostajności uczestników zbiorowego organizmu. Życie stanie się wygodniejszym, ale nie będzie w niem wielkich prądów i potężnych ideałów. Najsilniejszy z nich — religia — sprowadzony zostanie do utilitarnej moralności. Analiza autora jest na tym punkcie — wyrzucia się z religijnych tradycji — przejmującej, bolesnej precyzji. Nie powiada czy ta zmiana jest błogosławieństwem czy też klątwą dla ludzkości. Uważa ewolucję historyczną pod tym względem jako niezawodną i nieuniknioną i wysnuwa następstwa jej z logiką nieubłaganą. Skoro religia traci swą potęgę, jest naturalnem, że rozprzega się i rodzina. Rozwód kruszy świętość małżeńskiego węzła; równouprawnienie cywilne żony kruszy władzę zwierzchniczą ojca rodziny; interwencja państwa zastępuje powagę ojcowską: na miejsce dawniejszej rodziny przygotowuje się stowarzyszenie czasowe, przechodowe. Gdy własność indywidualna będzie coraz więcej zastąpiona przez publiczną, związek rodziny straci nawet swą ekonomiczną podstawę. Tak samo, jak dawniejszy ascetyzm i fer-

wor religijny zastąpiony został przez tolerancję, a kończy się na całkowitym indyferentyzmie, tak samo i w świecie umysłowym następują zmiany, których nie podobna nie dostrzedz. Piśmiennictwo schodzi z olimpijskich wyżyn do pospolitości codziennej. Epopea i tragedia wypowiedziały ostatnie słowo; liryka zesłała do pustej słów igraszki; rozwieliła się powieść dlatego, że nie ma w niej wyższego polotu. Nigdzie zapалу, młodzieńczych porywów, a wszędzie troska o dobrobyt, rachuba i kombinacja.

P. Pearson nie przeczy, że ład i porządek społeczny podniesiony zostanie do wyższego poziomu, że tyrania i gwałty się zmniejszą, że państwo weźmie pod swe skrzydła masy i urzeczywistni w szerokim zakresie wiele materialnych postępów; ale z drugiej strony, jako przeciwstawę tego stanu rzeczy, będziemy mieć życie mniej barwne i mniej namiętne, obniżony horyzont ideałów, mniej wyrafinowany smak, daleko słabszy charakter indywidualny, wyzuty z religii, z idealizmu, z duchowości.

Oto bilans, do jakiego dochodzi, i o którym — z drażniącym spokojem — mówi, jako o nieodzownej konieczności. Naprawdę chcielibyśmy protestować: przywala nas, przygniata natłokiem faktów i cyfer. Naprawdę chcielibyśmy się zapytać, jak uniknąć tego bezbarwnego, szarego jutra. Autor powiadać się zdaje, że rzeki do swego nie powracają źródła i że jakie sobie ludzkość przygotowuje łożo, w takim umrzeć musi. Umrzeć jak umrzeć, ale czy żyć tak warto?! Jako radę podaje nam w ostatnich słowach, abyśmy nie troszczyli się o kres ostateczny, do jakiego zdą-

żamy, bo jednostki przewyciężyć prądów społecznych nie potrafią. Każe nam spełniać sumiennie życiowe zadanie, ale nie wierzyć już dłużej w ów postęp wiedzy, w owo powabne jutro, które nam się zdawało nieodzownym udziałem społeczeństw przyszłości. Tyle innych pochodni, rozświecających drogę naszą, zdmuchnięto jedno po drugim a p. Pearson zdmucha ostatnią. Równie w nadzwyczajne zdobycze wiedzy, jak w prawo niezłomne tak zwanego postępu wierzyć nam odradza.

Czytelnik, dla którego streszciliśmy grube i najeżone faktami dzieło w przewodniej jego myśli, sam potrafi zrozumieć, że łatwoby na każdym szczegółowym punkcie robić się dało zastrzeżenia, stawać w obronie wiedzy, niesłusznie uważanej przez autora za skończoną, tak samo, jak możnaby mu udowodnić, że stan chwilowy, przechodowy, bierze jako ostateczny, że nie przypuszcza on nowych kombinacji, powstać mogących ze zlania się i pomieszania ras. Autor tak szerokie przebiegł pole, tyle pierwszorzędnych poruszył kwestyj, że wątpliwości na każdym kroku mógł wzbudzać. Nie o prostowanie jego teorii i zbijanie jego wniosków chodziło nam tutaj, ale po prostu o zwrócenie uwagi czytelników na głos poważnego myśliciela, który rozległ się niespodziewanie i wywołał wśród całego anglo-saksońskiego świata rodzaj osłupienia. Nie ma wątpliwości, że z obozu optymistów i w obronie naszej cywilizacji stanie cała rzesza zapasników. Życzyć im należy i życzyć nam samym, ażeby posiadali taki sam zasób wiedzy, co p. Pearson i tyle co on piśmienniczego talentu.

M. E. NEKANDA-TREPKA.

K R A J.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

(Dokończenie).

SCENA 5.

CIŻ I LESZYNSKOJ.

LESZYNSKOJ.

Izwinitie gaspada, ja zdieś prycażu was biezpa-koit', no uż w takim atnaszenii k'wam sierdieczno i iskrenno blagorodnom. — Państwo tu sami? Niema nikogo? (pokazuje na uszy) Można mówić bezpiecznie?

BŁOŃSKI.

Ten znowu żyły nam pruć przychodzi... Koniec świata!

LESZYNSKOJ.

Państwo niech drzwi zamkną na cztery zamki i służbę z domu wyprawia. On tu jest!

JAN.

Co za on?

LESZYNSKOJ.

On! Jaże jego przywiózł z cytadeli. On ma wyrok na wygnanie z granic Rosyi na wieczne czasy. Ja jego wiozę na kolej z żandarmami. Ale ja mam serce czułe. Prosił, przywieź do krewnych i pożegnać się pozwól! Cóż ja miałem robić? On blagorodnyj gaspadin, wiedział, że ja się narażam, tak już zapewnił,

że nagrodi fatygę i pomyśli, żebym nie stracił, jakby karać chcieli za moją uprzejmość. Ja żandarmów odprawilem po prowiant na drogę, bo mam jego wieźć w zamkniętym wagonie i broń Boże nie pokazać nikomu, no a sam chyłkiem z nim tutaj, niby na jego kwaterę po bagaż. Tylko państwo z nim ostrożnie a prędko się żegnajcie. I uciekać niech nie próbuje, policja na ulicy jest, a ja tu podedrzwiami strzedz będę. Ot, miękkie serce u mnie i krzywdę ja jemu przebaczył, choć on mnie łżył, i w sprawie ja jemu dopomogłem i prawie, że z tury wywlokł. A teraz odwiozę jak brata i puszcę ptaszka na swobodę. Prawdziwie u mnie szeroka natura; Słowianin, co?

TADEUSZ.

Ciekawa rzecz, ile Słowianin za to hapnął.

LESZYNSKOJ.

Pan mówi hapnął? Kto hapnął? A prawda, bez wziętków się nie obeszło. Pan wie, co ci w cytadeli sędziowie, auditory, »mudryje pticy«, złodzieje, »wziatoczniki« aż strach. Z duszą nie puszcza, ostatnią kopyjkę wydrą. Żeby nie ja, on by się setką tysięcy nie okupił. Bo sprawki mieli, że bogacz. A tak cóż, piętnaście tysięcy dał i jedzie sobie jak nic. I jeszcze biletu nie płaci. Wszystko rząd daje (pokazu-

*) Półczwarta aktu tego niepospolitego dzieła, jak wiadomo stałym czytelnikom naszym, pomieszczoną była w poprzednim roczniku *Świata*. (Przypisek Redakcyi).

zując na siebie) i towarzystwo. Ja go do samej granicy dowiozę, a żandarmów dwóch posłuży aż miło. I »wodka« poda i jeść co dusza zapagnie z bufetu; no, to już nie na »kazionnyj szczot«. A cóż mogę ja jego tu bezpiecznie wpuścić?

ANTONINA.

Wprowadź go pan. Widzisz przecie, że umieramy z niecierpliwości.

LESZYNSKOJ (otwiera drzwi w głębi).

Chodź pan, chodź. Już państwo uprzedzeni.

(Władysław wchodzi we drzwi i staje w nich, widocznie osłabiony, wspiera się na Leszyńskim, który po chwili wysuwa się, od czasu do czasu tylko zaglądając z przedpokoju podczas następnej sceny).

SCENA 6.

CIŻ bez LESZYNSKIEGO, WŁADYSŁAW.

ANTONINA.

Boże! jaki on blady!

WŁADYSŁAW.

Państwo już wiecie, że wasz syn wolny?

JAN.

Sam przyniosłem tę nowinę. Ale tu dopiero dowiedziałem się, komu swobodę zawdzięczam, że szlachetne poświęcenie twoje...

WŁADYSŁAW (wskazując Antoninę).

Ja zrobiłem to, bo ona tego chciała! A teraz, teraz jabym to zrobił na nowo, ale dla drugiej przyczyny. Ja już nie jestem ten sam człowiek. Oni tam w cytadeli nauczyli mnie tego, czego ja nie umiałem. Ja już wiem dzisiaj, co to jest Moskal i wiem co ten biedny kraj i jak go kochać trzeba, kiedy on taki nieszczęśliwy. Darujcie, ja muszę usiąść, jestem trochę zmęczony. (Antonina podbiega do niego pierwsza, chcąc go wesprzeć). O nie! dziękuję. To chwilowe osłabienie, świeży wiatr tak na mnie oddziałal. Po dwóch miesiącach zamknięcia to odurza! Tam było bardzo duszno. Ja zaraz przyjdę do siebie.

JAN.

Katowali cię...

WŁADYSŁAW.

Nie! mnieby nie śmieli uderzyć, jabym ich zabił! Ale oni mnie wiazali, potem trzymali mnie w ciemnym lochu i dawali jeść tylko śledzia, żeby mnie się chciało pić, a kiedy ja żądałem wody, to nie chcieli mnie dać ani kropli, tylko prowadzili do śledztwa i pokazywali wodę zdaleka.

JAN.

Chcieli na tobie wymusić zeznanie.

WŁADYSŁAW.

Co oni mieli wymusić, kiedy ja wszystko powiedziałem, co chciałem, żeby wiedzieli przy pierwszym śledztwie. Kiedym ja ztąd wychodził, to chciałem tylko wiedzieć, jak ja mam winę przyjąć na siebie, żeby ciebie obronić. Mnie mówił ten adwokat, że oni szukają fabrykanta medali. Ja poszedłem kupić parę takich medali, których dużo obiega po mieście i obejrzałem ich starannie; ja sprawdziłem, że one podobne do medali, któreśmy bili w Ameryce na stulecie Unii. Orzeł na nich takiż sam jak w Stanach Zjednoczo-

nych i figury także trochę podobne, tylko napis inny. Od tej chwili to ja już miałem cały plan gotowy. Ja pojechałem do cytadeli, ale tam tak trudno się dostać, prawie jak potem z niej wyjść. Mówię: Ja jestem ten co sprzedawał medale, a oni mnie każą jechać na policję i tam dopiero robić zeznanie. Zresztą ci oficerowie, którzy ze mną mówili, oni mnie trochę brali za waryata. Ja pojechałem na policję, tam w biurze siedział ten, który mnie tu odprowadza, którego ja za drzwi wyrzuciłem kiedyś od siebie — to on mnie właśnie meldował do dyrektora. Tam sprawa była krótka. Pokazałem medal i już dwóch policyantów siedziało ze mną w doróżce. Za chwilę to ja już byłem pod rygłem w dziesiątym pawilonie, do którego przedtem daremnie pukalem. Kiedy w nocy poprowadzono mnie do komisji, ja już miałem rzecz całą ułożoną. Mówię tym oficerom, którzy tam siedzieli: Puście młodych studentów; oni kupowali medale odemnie, a ja je przywiozłem gotowe z Ameryki. To nieprawda, mówią te łotry, w mundur wojskowy ubrane. Prawda, powiadam. Zostało nam po stuleciu Unii dużo medali niesprzedanych, więc urządziłem wyprzedaż, dając napis polski. Oni temu nie wierzyli, no i oni mieli rację. Ale mnie tylko chodziło o to, żeby myśleli, że ja tych medali wam dostarczałem. Oni mnie po dziesięć razy codzień prowadzili do komisji do sprawdzenia ze studentami. To wszystko dzielna młodzież! Żaden nie chciał mnie poznać, choć ja w nich wpierałem i prosiłem się o to. Na szczęście ty, Jasiu, nie mogłeś się wstrzymać od okrzyku, kiedyś mnie zobaczył, i to ocaliło was wszystkich.

JAN.

Wiedziałem, że ta fatalna nieprzytomność moja zaszkodziła twojej sprawie. Przebaczone, ale wrażenie było tak silne!

WŁADYSŁAW.

Co ja ci mam przebaczyć, kiedy bezwiednie tyś mi najlepiej dopomógł. Od tej chwili oni zaczęli wierzyć w waszą niewinność, ale do mnie wzięli się jak oprawcy do psa. Oni myśleli, że ja jestem jakimś emisariuszem, że spisek tu przyjechałem robić, czy nową rewolucję. Badali, z kąd przyjeżdżam i gdzie się zatrzymywał po drodze. Potem oni chcieli szukać moich znajomych w Warszawie i ja najgorzej się bałem, żeby nie wpadli na ten dom. Wtedy mnie przyszła szczęśliwa myśl; ja mówię w komisji: Niechcę przed wami robić zeznań, ale tu jest jeden urzędnik w policji, to ja jemu wszystko powiem. Jego mnie sprowadzić! I oni mnie sprowadzili tego, co mnie ma odwozić, ja jemu dałem czeki na tutejszych bankierów i odrazu wszystko się zmieniło. Mnie wyjęli z tej ciemnej piwnicy, traktowali grzecznie w komisji, sami podsuwali odpowiedzi na pytania, a dziś ogłosili wyrok na wyjazd.

ANTONINA.

Tyle pan przecierpiałeś dla nas, dla mnie!

WŁADYSŁAW.

O tak! Ja trochę cierpiałem, bo dla człowieka wychowanego na wolności, to zrozumieć trudno, jak dzisiaj w obec postępu, cywilizacji, coś podobnego w Europie być może. Ja dziś wiem, dlaczego ta stara na rynku mówiła: Moskal psia-krew! Mnie dusiło w gardle, że nie mogłem na cały głos krzyknąć wszystkich wymysłów, jakie mnie się do ust cisnęły:

PIOTR STACHIEWICZ.



TERENIA.
(z „UROCZYCH OCZU”).

Łotry, zbójcy, złodzieje, katy, oprawcy, to wszystko zamalo. Żaden język niema w słowniku swoim obelgi, jakąbym ja chciał ich piętnować. Oni mnie nie bili, ale w sąsiedniej celi tam były dwie młode dziewczyny, nie wiem czy po piętnaście lat, ja słyszałem przez ścianę jak im wygrażali, a potem ich jęki i płacz. Nie wiem, jakie zadawali im męczarnie, ale ja związany w ciemnym lochu szarpalem się, gryzłem postronki, żeby im biedz na pomoc, i także jęczałem z bólu bezsilny, bo ja nie mogłem zrobić dla nich nic, dla tych biednych dzieci. Mnie wtedy płynęła krew z rąk, ale to mnie nie bolało bardziej, niż te łzy które płynęły z oczu w obec niedoli tych ofiar i okrucieństwa tych zbójców.

ANTONINA.

Cierpiałeś pan naszym bólem, płakałeś naszymi łzami, przyjąłeś chrzest swojego narodu. Dziękuję ci, Boże!

WŁADYSŁAW.

O, tak! Ja jego wziąłem i teraz on tkwi w mojej krwi i piecze mnie i pali tak, jak was, myśl rozkucia tych więzów, zerwania pęt, które oni sami na moje ręce nalożyli.

JAN.

I w takiej chwili utracić cię mamy? Miałbyś bezpowrotnie opuścić kraj, dla którego teraz byłbyś dzielnym obywatelem?

WŁADYSŁAW.

Ja opuścić? Opuszcza się tylko tych, których się zapomina, a ja o niczem tu nie zapomnę, bo tu pokochał ojczyznę a przed tem jeszcze tę, co mnie jej miłość wskazała. Ja tu przyjechałem obcy z własnej woli, ale nie na długo. Oni mnie zmuszają wyjeżdżać! Zobaczmy, czy przezwyciężą upór Amerykanina. Ja teraz chcę tu powrócić i wspólnie z wami żyć i pracować dla tej ziemi, która jest moją ziemią i nienawidzieć waszych katów, bo oni byli moimi katami. Ja przyszedłem wam to powiedzieć. (Do Antoniny) I pani także przyszedłem powiedzieć, że przez te dwa miesiące ja ani chwili nie przestałem myśleć o pani. Tyś rozpoczęła to dzieło, które oni skończyli tam w cytadeli. Powiedziałaś, że nie mogłabyś pokochać obcego. Jam już nie obcy. Jam syn tej ziemi, krwią i sercem wasz. Czy i teraz mnie odrzucisz?

ANTONINA.

Panie Władysławie! Wierz mi, że szczęśliwą jestem nad wyraz tem, że cię kraj odzyskał, że uczucie narodowe zatętniło w twojej piersi tak silnie, ale ja... ja nie jestem wolną.

WŁADYSŁAW.

Nie jesteś pani wolną? Dla czegoż zwodziłaś mnie mówiąc na tem samym miejscu, w dniu mego aresztowania, że serce twoje nie zajęte? Fałszu z twojej strony najmniej się spodziewałem.

ANTONINA.

Wierz mi pan, że są okoliczności...

WŁADYSŁAW.

W których kłamać potrzeba! Wierzę, bo i ja je poznałem i ja musiałem kłamać, ale przed Moskalami, ale to byli wrogami! Dla czegoż mnie w ten sam sposób traktować pani chciała?

JAN.

Bo jest najszlachetniejszą z kobiet, zawsze gotową do poświęceń i ofiary z siebie. Związana słowem względem szaleńca, który łyż jej jednej nie wart, gotowa była jednak własne szczęście rzucić na szalę jego wybujałej fantazyi. Tylko ten szaleniec oprzytomniał trochę. I on wdzięcznym być musi Moskalom, że go zimną wodą oblali. W więzieniu przyszedł do rozwagi i opamiętania. Spostrzegł nareszcie, że o ile ty byłaś szlachetną, on był mizernym i małym. Przez usta moje, Antosiu, błaga cię o przebaczenie, a zwalnając od wymuszonego grozą sytuacji zobowiązania, prosi, abyś poszła za głosem serca i nie skrepowanej przez niego woli!

ANTONINA.

Prosi, to za mało. Wszakże mnie miał zmusić.

JAN.

I do tego mnie upoważnił. Więzy moskiewskie złączyły Władysława z krajem, dziś zerwane utrwały się w ręku żony.

WŁADYSŁAW.

Żony! A czy wiesz pani, że już cię nazywano moją żoną? Mnie mówili żandarmi w cytadeli, potem kiedy ja już sobie ich laski kupilem, że o mnie przychodzi się pytać moja żona i oddawali mnie jedzenie, owoce, cukry, nawet kwiaty. Te cukierki one mnie się bardzo przydały. Kiedy mnie nie dawali pić, to ja je brałem do ust i one mnie zastępowały wodę. I wtedy ja sobie myślałem: jaka ona dobra, że o mnie pamięta i starania robi i sama się nazywa moją żoną. Tylko dziwne, że oni mówili, że tam druga przychodzi, jakaś starsza lady, która także mówi, że jest moją żoną.

BŁOŃSKI.

To ta baba! Jednak dotarła do niego.

TADEUSZ.

Nie dotarła, bo jej przecie nie widział.

SCENA 7.

CIEŻ, LESZYŃSKOJ (za nim wchodzi dwaj żandarmi, którzy zostają przy drzwiach w głębi).

LESZYŃSKOJ.

Nu! arestant w darogu, wremia jechać! (Ciszej zbliżając się do Władysława) Żegnaj się pan, bo żandarmi przyszli! Przy nich ja już zwlekać nie mogę. (głośno) Wy gatowy? bagaż jest?

WŁADYSŁAW (do Antoniny).

Czy każeś mi pani odjeżdżać bez słowa nadziei?

ANTONINA.

Jeśli to ma wzmocnić pańską chęć powrotu, a więc... powracaj pan!

WŁADYSŁAW.

Dziękuję! Ja powrócę i tak prędko...

LESZYŃSKOJ.

Kak wy śmiejetie gawarit' miatieżnik o wazwraszczeniu zdies. Wygnany na wieczne czasy z granic państwa, poszedłbyś pan na Sybir, gdybyś na tutejszem terytorium nogą stanął! (Ciszej do Władysława, wskazując żandarmów) Ja to tak dla nich mówię, ale bądź pan spokojny, my dobrzy ludzie. Tu katorżniki lata całe

w mieście przebywają i nikt ich nie zaczepi, jak się oplacą w policyi. Już my od tego jesteśmy. Ja sam, jak potrzeba, zamelduję pana pod cudzym paszportem albo zfabrykuję ci ojca i matkę co i czort nie poznażkąd oni rodem. U nas wszystko zrobić można, rozumie się, o ile się da. (pokazując na rękę — głośno) Nus arestant stupaj w pierod, raz dwa, tri, marsz! (do Antoniny) A widzi pani co i w policyi dobrym Polakiem być można i dopomódz braciom w nieszczęściu! Co? (Wszyscy żegnają, i ściskają Władysława, który powoli wycofuje się między żandarmów i postępuje z nimi ku drzwiom, jeszcze raz zwracając się z pożegnaniem od progu. Krótki obraz. Leszyńskiej parę razy komenderuje). Marsz!

JAN (do Antoniny).

Widzisz, że instynkt mnie nie zawiodł, ale choć tracąc cię cierpię, ból osładza myśl, żeś go zdobyła dla kraju. Miłość zrobiła go Polakiem!

ANTONINA.

Ale dzieła dokonało prześladowanie Moskali. Cierpienie dopiero daje właściwą miarę przywiązania do ojczyzny. Kto przez nie przeszedł, ten przebył próbę ognia.

TADEUSZ.

Nie można też Moskalom zarzucić, żeby się w ten sposób nie starali podniecać w nas i utrzymać patryotyzmu. (wskazując na Władysława) Spójrzcie na Władysława. Z dwóch stron żandarmi, policyant z tyłu! Oto typowy obraz naszego kraju! Że mój przyszły szwagier Polakiem pozostanie do śmierci, teraz już nie wątpię.

LESZYŃSKOJ.

Arestant marsz! raz, dwa, tri!

(Zasłona spada).

ŻELISŁAW ROMAN ORSZA.

WIDZENIE

JMCi PANA KACPRA BOJANOWSKIEGO, ŻOŁNIERZA OŚMDZIESIECIOLETNIEGO.

(Z rękopiśmiennej relacji, z czasów Władysława IV).

Pięknie rozpoczyna Sienkiewicz opowieść *Ogniem i mieczem* od opisu niepokojów i przeczuć smutnych w Rzeczypospolitej, tuż ku schyłkowi pierwszej połowy XVII wieku; gdy ze zjawisk niebieskich i niezwykłego stanu aury, ludzie zabobonni i prostaczkowo zaczęli wyprowadzać wnioski o grożących narodowi klęskach, które się też nadspodziewanie rychło ziściły.

Owe przeczucia krwawych w życiu dziejowem chwil, ujawniły się już na lat kilka przed kozacką zawieruchą, w epoce względnego w Rzeczypospolitej spokoju, gdy po uśmierzeniu napadów zewnętrznych, naród szlachecki, upojony odniesionymi zwycięstwami, rzucił się w wir szalonego życia i przyjemności doczesnych, budząc w kołach ludzi rozważnych trwogę i nawoływanie do poprawy zepsutych obyczajów.

Lata 1639—1645 zaliczano do względnie najszczęśliwszych w dziejach krajowych.

Na dworze królewskim, po przebytych niedawno szczęśliwie potrzebach wojennych, cieszą się nadzieją utrwalenia dynastii Wazów, w osobie nowonarodzonego królewicza Władysława Zygmunta; troskano się o środki zdobycia »wdzięczności królewskiej«, marzono o przyszłych tryumfach w zamierzonej przeciw bisurmanom koalicji europejskiej, słowem, rydwan życia Rzeczypospolitej toczył się podówczas pozornie po równinie gładkiej i szerokiej, jak owe stopy ukraińskie, które się niezapowiedzianie stały widownią straszliwej katastrofy dziejowej...

W owej to epoce przelotnej szczęśliwości ogólnej, zjawił się nagle, na dworze królewskim w Warszawie, sędziwy żołnierz, IMPan Kacper Bojanowski, i opatrzone listem biskupa krakowskiego, zażądał posłuchania u króla, aby mu złożyć relację o straszliwych widzeniach, jakie go od niejakiego czasu dręczyły i wpłynąć na zarządzenie ogólnych modlitw i postów, celem odwrócenia nieuchronnych klęsk krajowych, w widzeniach mu zapowiedzianych.

Na dworze podkanclerzego koronnego Jerzego Ossolińskiego, zebrała się rada teologów i kapłanów,

przed którą Bojanowski powtórzył opowieść swoich widzeń, i, dnia 12 listopada 1641 roku po wykonaniu uroczystej przysięgi na prawdziwość faktów opowiedzianych, złożył Bojanowski królowi piśmienną, w wyrazach prostaczych i szczerzych, relację, treści następującej¹⁾:

»Najjaśniejszy, miłościwy Królu, Panie, a Panie mój miłościwy!

»Jam tu przyjechał do Waszej Królewskiej Mości jako stary żołnierz i sługa poddany Waszej Królewskiej Mości, winszując W. K. M. naprzód dobrego zdrowia od Pana Boga Wszechmogącego, i, szczęśliwego, długiego panowania, z Najjaśniejszą Królową i z acnem potomstwem Waszej Królewskiej Mości, żyjąc, jako wierny poddany.

»Iż to na mnie starego włożył Pan i Stworzyciel nieba i ziemie, abym to oznajmił Waszej Królewskiej Mości, co się ma dziać i jako gniew srogi Pański wisi nad nami, tedy oznajmuję, prawie przymuszony, jak się rzecz ma:

»Miałem widzenie takie we śnie: Począwszy od wstępnego postu, aż do Wielkiejnocy, a zawsze z soboty na niedzielę, nad świtanie, osoba piękna przychodziła do mnie, w osobie Boskiej, w białych szatach, która mi rozkazała, żebym to oznajmił zaraz księdzu biskupowi krakowskiemu, a potem Waszej Królewskiej Mości, tak mówiąc i chrzczonem imieniem mnie nazywając:

»— Kacper! Oznajmuję ci imieniem Najwyższego Pana, abyś to zaraz oznajmił, wprzód Księdzu Biskupowi krakowskiemu, a potem, Królowi, Panu swemu, opowiedz, iż Bóg Wszechmogący będzie karał wszytką tę Koronę Polską, dla wielkich grzechów, których już Pan Miłościwy więcej cierpieć nie może, bo ledwie i w Sodomie takie grzechy i zbytki najdowały się. Pychę mianowicie, łakomstwo, a przytem inne grzechy, które jedno mogą być największe, a którymi się Bóg Wszechmogący bardzo brzydzi, ma surowo ka-

¹⁾ *Acta publ.* Rękopis Bibl. Ord. Krasińskich Nr. 823.

rać i już plagi karania swego Pan nagotował. Ale jako Pan Miłościwy nie skwapia się do karania, więc przestrzega, aby się ludzie opamiętali.

»To się we śnie działo.

»Jam to sobie lekceważył, jak to pospolicie mówią: sen mara, Pan Bóg wiara.

»Teraz, w dzień Wielkanocy, jakom przyszedł z jutrzni, w świtanie, układałem się, nie spałem. Dzień nadszedł, tak, że już widać było dobrze.

»Przyszła ta osoba. Zląkłem się i przeżegnałem.

»Stanąwszy, rzecze do mnie:

»— Nie bój się Kacper. Jam jest *anioł*, sługa Boży, którym ci się we śnie pokazywał, a nie uczyniłeś, com ci od Pana rozkazował. Grzech masz. A toć ci rozkazuję imieniem Boskiem, żebyś to zaraz oznajmił Biskupowi Krakowskiemu i Królowi, Panu swemu.

»Jeśli tego nie uczynisz, oblicza Pańskiego nie obaczysz.

»Mówilem:

»— Ja nie mam o czym do tak wielkich panów jachać.

»— Nie mów o tym nic. Pan to bogaty, który przez mnie rozkazuje-ć, bo to wola Boża jest, żebyś tych ludzi przestrzegł i powiedział tym, którym należy: A to Pan miłościwy nie skwapia się skaraniem na ten zły lud; czeka upamiętania i przestrzega. Gdy się nie upamiętają, prędko plagi srogie zawisną nad nimi i tym królestwem, które Bóg Wszechmogący karać obiecuje. Lecz jeśli chcą ująć tego skarania, tedy niech post taki ustanowią po wszystkim królestwie: trzy dni pościć; w pierwszy dzień raz tylko jeść, o południu, z suchotami, a drugi dzień nic nie jeść, ani pić; trzeci dzień tylko jeść o południu, z suchotami. A przez te trzy dni z wielkim nabożeństwem błagać Pana Boga, we dnie i w nocy, w Kościołach wołać do Pana Boga będziecie, aby od nas oddalił tę plagę. Jałmużny wielkie dawajcie ubogim. Psalmy pokutne śpiewać po kościołach będziecie, a przestrzegać tego będą wszędy PP. urzędnicy i duchowni i świeccy, żeby sprawiedliwie ten post poszczono, po wszystkim królestwie, od wielkich ludzi, aż do najmniejszych. I dzieci, którymby minęło siedm lat, mają pościć ten post i nabożeństwa odprawiać. Na stroje zbytnie i na niesprawiedliwość Bóg narzeka, na zdzierstwa, łupieżstwa srogie. PP. Sędziowie będą mieli za co odpowiadać Panu Bogu, co za prywatami się udali i udają wielkie złości. Wspomina anioł i drugich, niepamiętając, a tak mówi: niechaj sprawiedliwie tę pokutę odprawia, wracać się do grzechów nie będą, a żyć i sprawować się jako przodkowie ich po staroświecku żyli.

»O tem wszystkim oznajmiłem J. M. X. Biskupowi Krakowskiemu, przyjachawszy do niego we dwie Niedziele po Wielkiejnocy.

»Znowu jakom przyjechał do J. M. X. Biskupa Krakowskiego, miałem widzenie w Niedzielę krzyżową, na świtanie, który mię gromił, że to powiedzieć przepomniał X. biskupowi krakowskiemu, com miał mieć w pamięci: jako na duchowieństwo anioł barzo narzeka, jako wielkie grzechy są między niemi i przykłady barzo szpetne dają ludziom.

»Znowu miałem widzenie anioła w świąteczną Niedzielę, na świtanie, który mi rozkazał pod dusznem zatraceniem, żebym do Waszej Królewskiej Mości najprędzej jachał i oznajmił wszystkie sprawy, com widział i słyszał.

»Znowu w dzień Ś. Trójcy widziałem dziwne i straszne rzeczy, z Niedzieli na Poniedziałek, na świtanie, przez sen.

»Naprzód srogie wojska tureckie, tatarskie, pod Krakowem otoczyły wszystek Kraków. Strzelba sroga. Ja do Krakowa, na koniu, Floryańską bramą, a tu mury powalone leżą. Krzyk jakiś srogi po ulicach. Trupa pełno leży. Wjadę w rynek. Krwią wszystko spłynęło. Przez Kanoniczą ulicę wpadnę ku zamkowi. Zamek także krwią spłynął. Mury leżą powalone zamkowe. Brama także obalona, tylko co pałac stoi w zamku, kędy było pogorzało od miasta, nad którym pałacem siedm koron było bardzo świetnych, jakby je co trzymało.

»Z tym odecknąłem się, w strachu srogim, a anioł stoi nademną.

»Nie mogę przemówić od strachu.

»Rzecz: — Nie bój się Kacper. Widziałeś co się działo Krakowowi?

»Ledwie przemówił, że widział.

»— Powiedz to wszystko biskupowi krakowskiemu i Królowi, Panu swemu. Tak się stanie waszej Koronie wszystkiej. Jeśli się nie upamiętacie i pokuty nie uczynicie — według rozkazania anielskiego — zginiecie.

»Byłem zaraz u J. M. X. Biskupa Krakowskiego. Powiedziałem wszystko samemu, z którego rozkazania byłem trzy razy na inkwizycyi. U Waszej Królewskiej Mości miałem być zaraz po świątkach, jednakże Waszej Królewskiej Mości nie było w Warszawie, a do tegom stary i chory, nie mogłem się wybrać tak prędko, jako ubogi szlachcic.

»Znowu miałem widzenie anioła w wigilię Najświętszej Panny Maryi Wniebowzięcia, ze Środy, na Czwartek, na świtanie. Rozkazał mi od Boga Wszechmogącego, pod dusznem zatraceniem, żebym do Waszej Królewskiej Mości jachał i opowiedział, jeśli ta pokuta stanie i odprawi się porządnie, według rozkazania anielskiego, tedy Pan Bóg Miłościwy dla Jagiella, przodka Waszej Królewskiej Mości, obiecuje Grecyą wszystką podać pod moc w ręce Waszej Królewskiej Mości i zaraz po wypełnieniu tej pokuty masz Wasza Królewska Mość mieć wojsko potężne i zaraz się do Wołoch udać, z dobrym sercem, ufając w Panu Bogu, że Wasza Królewska Mość snadnie otrzymasz po Dunaj ziemię turecką, a potem, za Dunaj, przeprawiwszy się w Grecyą. Tam, Chrześcijaństwo wszystko, które jest pod Turkiem, pomoże Waszej Królewskiej Mości i wybije się z niewoli bisurmańskiej. Pobije to i sam Pan Bóg. A to i ja, choć stary i nafatigowany na zdrowiu, (bo mało mam członków zdrowych, całych w sobie, więcej postrzelonych, bom wszystkie ekspedycje odprawowałem za świętej pamięci Zygmunta, Ojca Waszej Królewskiej Mości i w cudzych ziemiach, w Węgrzech, za onego sławnego świętej pamięci Rudolfa Cesarza, który z Turkiem walczył więcej niż trzydzieści lat i bitwy srogie miewał: wołoskie, młtańskie, moskiewskie wojny odprawowałem), jednak, jeśli to Pan Bóg zdarzy, że Wasza Królewska Mość pójdziesz do Turcyi, pójde z Waszą Królewską Mością. Masz Wasza Królewska Mość na to pogodny czas, tylko pokutę trzeba odprawić, według wskazania anielskiego, co by się nic nie sprawiło, kiedy by pokuta nie stanęła.

»Wierny poddany, najniższy służebnik
Waszej Królewskiej Mości,
Kaspar Bojanowski«.

JAN MATEJKO.



Podług fotografii JULIUSZA MIENA.

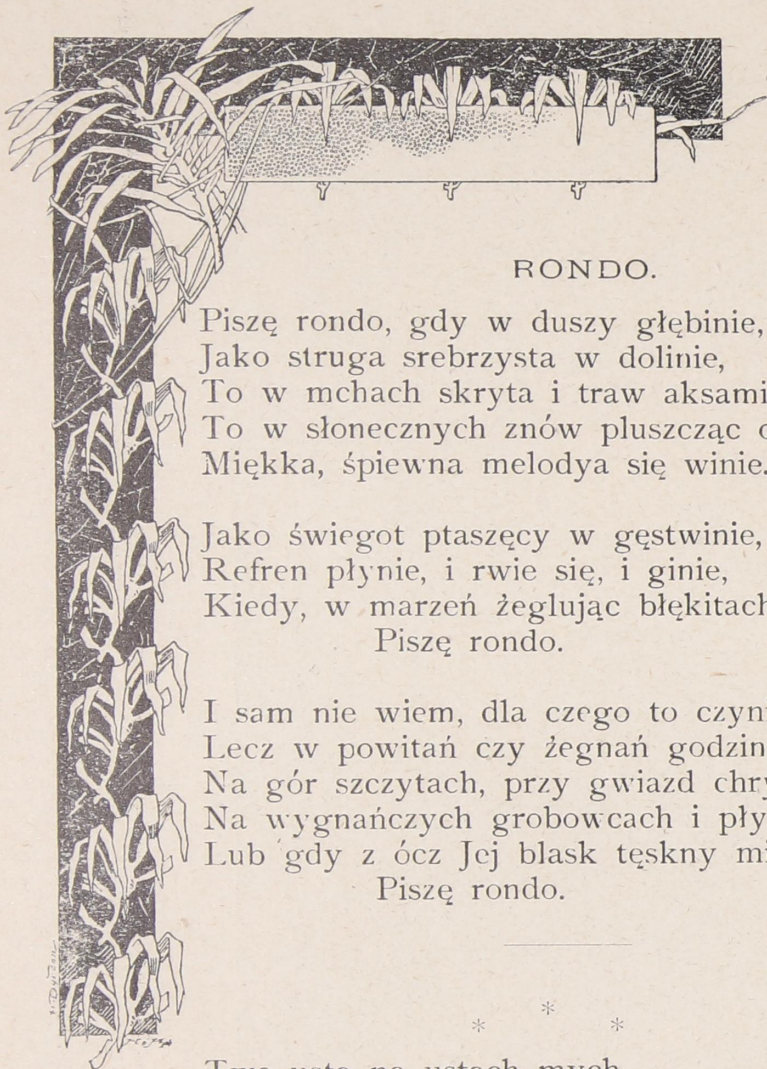
PORTRET.

Na końcu relacji mieści się dopisek:

»Teraz, w Warszawie, w Wigilię Bożego Narodzenia, anno 1641, w nocy, nad zamkiem, koło jakiegoś pokazało się i taka światłość z niego uderzyła, między dwunastą a pierwszą w nocy, na pół zegarzu, że się

piechota polekała, która na warcie była, z którego koła — kula ognista wypadła i leciała jakby na Senatorską ulicę, ale jej tam nie można naleźć. To piechota sama powiedziała. Grzmienie też słyszano«.

ALKAR.



RONDA SMĘTNE.

RONDO.

Piszę rondo, gdy w duszy głębinie,
Jako struga srebrzysta w dolinie,
To w mchach skryta i traw aksamitach,
To w słonecznych znów pluszcząc odświtach,
Miękka, śpiewna melodia się winie.

Jako świegot ptaszęcy w gęstwinie,
Refren płynie, i rwie się, i ginie,
Kiedy, w marzeń żeglując błękitach,
Piszę rondo.

I sam nie wiem, dla czego to czynię,
Lecz w powitań czy żegnań godzinie,
Na gór szczytach, przy gwiazd chryzolitach,
Na wygnańczych grobowcach i płytach,
Lub gdy z ócz Jej blask tęskny mi skinie,
Piszę rondo.

* * *

Twe usta na ustach mych
Jak złoty rozdzwiękły rym.
Noc spada — gwar miejski ścichł...
— Twe usta!

Zadrgnęłaś? Oboje drżym?
Z ócz pierzchł ci rozkoszy śmiech.
Po lecie — mówisz — śnieg zim?

Niestety! — Gruz marny z pych,
Szych — z marzeń, z wulkanów — dym...
O! lecz mieć tylko w dniach złych
Twe usta!

TRZY DOBY.

Dali pragnie młodość wrząca,
Nieskończonych w przestrzeń dróg.
Zapatrzona w blaski słońca,
Wsze zapory w prochy strąca,
Pochód jej — piorunów huk!

Pierzchły złudy. Z bóstw tysiąca
Jeden snadź się ostał bóg:
Nawyknienia moc, gnająca
Dalej...

Starość śle siwizny gońca,
Człek dość brzemię życia włókl,
Spocząc pragnie noga drżąca —

Lecz los kracze, jako kruk:
Snadź i w śmierci niema końca,
Dalej!

WIDMO.

Widmo słoneczne przez szkło pryzmatu
Tęczy smugą barw opalową.
Jakiej światłości ty dajesz światu
— Gdy pryzmatami ci myśl i słowo —
Widmo?

Niebiańską gęźbę słyszysz echowo,
Lotosowego woń czujesz kwiatu:
Wcielić je w słowo? — chęć twa jałową!

Szarpiesz się, walczysz do krwi szkarłatu;
Patrzysz, coś ujął pryzmatem-mową:
Z czuć aromatu, z snów majestatu —
Widmo!

W JESIENI.

Rondo dla Witolda Rubczyńskiego.

Jak ten las w późnej jesieni
Tęczowo, tęsknie się mieni!
Ów zachód pomnisz słoneczny,
Gdy pośród krasy bajecznej
Staliśmy cisi, zdumieni?

Z mgły ametystów, czerwieni,
W pierś dziwny żal się strumieni
I szemrze w głębi serdecznej,
Jak ten las.

I nam snadź w zgonu przedsieni
Puchar się wspomnień rozpieni,
I wiosny odgłos świąteczny,
Nim oczy przymknie sen wieczny,
Tęczą barw strzeli, promieni,
Jak ten las!

APOSTROFA.

Czuwajcie, prochu ziemi tej synowie!
Jako mgła biała pod księżyczne nowie,
Tęsknota wieczna wstaje oto z wnętrza
I w Himalaje obłoczne się spiętrza,
Serca i myśli przeczuć zbiega mrowie.

Mgnienie snadź: — tajń się w żywym wcieli słowie,
Lecz kto je wyda, nikt dzisiaj nie powie!
Któż wie, gdzie dusza rodzi się gorętsza?
Czuwajcie!

W mrok zmysłów oczy wytrzeszczacie sowie,
Gdzie brzask objawień, drzemiecie jałowie,
A doba mija, od błyskawic prędsza!
Byście, gdy chwila nadejdzie najświętsza,
Nie byli jako płaz gnijący w rowie,
Czuwajcie!

ŚPIĄCA KRÓLEWNA.

Rondo dla p. Heleny Z.

Jak woń fijołków z duszy mi wionie,
Przed główką w płowych loczków koronie,
Piosenka słodka, prosta a rzewna:
Cicho! zakłeta śni tu królowna!
Cicho! nie budźcie serca w jej łonie!

O kwietne, rośne, wiosenne błonie!
O kryształowe jeziorne tonie!
O przecuć gędzbo, cicha, niepewna,
Jak woń fijołków!

Czas przyjdzie: lato skwarne rozplonie,
Serce rozdzwoni się w złotym dzwonie,
I nuta uczuć popłynie śpiewna.
Dziś, lilij krewna, niech śni królowna,
Niech sny jej białe owioną skronie,
Jak woń fijołków.

NA TORZE KOLEJOWYM.

Stalowych szyn żałobne, czarne pręgi
Mkną w bezmiar gdzieś, za mgliste widnokregi.
Pociągu sznur z bojaźnią krwawe oczy
Wyteża z mgły, lecz kornie w dal się toczy,
Gdzie wiodą go te niezłagane wstęgi.

Snadź wiezie moc, nadzieje, wdziek, przysięgi;
Snadź otchłań tuż; — ich nie zgnać mu potęgi!
I często krwią nieczuły tor się broczy
Stalowych szyn...

O, wieczna tajń! Purpury czy siermięgi
Na grzbiecie masz, czy śniesz, czy zgłębiasz księgi,
Czy znasz śnieg zim, czyś w wiosny dniach uroczej,
Przecucia dreszcz do zgonu skroń ci mroczy,
Ześ nędzny rab — wśród ziemskich dni włóczęgi —
Stalowych szyn.

* * *

Pod stopy twoje lilij kielichy,
Pod stopy twoje myrrę i nard;
Marzeń mych szychy, szkarłat mej pychy
Pod stopy twoje!

Krzyż, jaki prawy nieść musi bard,
Wnętrznych walk rany, tłuszczy sztydne śmiechy,
Wszystko! — i duszy stalowy hart!

Chcę być przed tobą ubogi, lichy.
Czem jestem, byłem, co mam, com wart,
Skladam w upojnej ekstazie cichej
Pod stopy twoje.

POD SŁOMIANĄ STRZECHĄ.

Swoim.

Pod słomianą strzechą, w owocowym sadzie,
Pomnę pochylony, stary, cichy dwór,
Lipę, wonną latem, w rojów pszczelnych zwadzie,
Ławę, gdzie pod lipą siadywałeś, dziadzie,
Bocianów na strzesze klekocący chór.

Jak z pól tęskne śpiewy pastuszek przy stadzie,
Z sielskich dni dzieciństwa wspomnień ciągnie sznur,
Gdyśmy wszyscy byli przy sobie, w gromadzie,
Pod słomianą strzechą.

Niepowrotne czasy! Wszystko dziś w zagładzie,
I każdego inny w świat gdzieś uniósł tór.
Oh! ale po życia mroźnej maskaradzie,
Gdzie duch strzępy krwawe orlich roni piór,
Szczęsny, kto wśród swoich głowę do snu kładzie
Pod słomianą strzechą!

NA GRÓB HOENE-WROŃSKIEGO

Żłobie na twoim samotnym grobie,
Wielki bogaczu, wielki Hiobie,
Ukrzyżowany i zapomniany,
— Iż już zapóźny balsam na rany —
Wielkie proroctwo ludziom, nie tobie:

Ciemność ciemności na ziemskim globie!
Człowiek bezdusznie, w hańby porobie,
Stoi przy trawy już przeżuwanej
Żłobie.

Lecz kiedyś ludzkość, równa Niobie,
Jękiem ogromnym jęknie w żalobie
I chwał ci sypać będzie kurhany.
I dni się zaczną ciąć poświęcany,
Jako przy świętym — w Narodzin dobie —
Żłobie.

WIZYA.

Konwulsyjnie w przestrzeń wyciągnięte ręce,
W nieukoju wiecznym, w pragnień wiecznej męce,
Widziałem olbrzymiem, kędy zwrócę oczy,
Wieją w nieskończoność powietrznej przeżrocy,
Mrocząc blaski wschodów, zachodów rumieńce.

Cień z nich czarny pada na starce, młodzieńce,
Na wieńce dziewicze, na ochocze żeńce,
Na glob co się wiecznie — dokąd? dokąd? — toczy
Konwulsyjnie...

Te błagalne ręce, te ręce-szaleńce,
Prężące się wiecznie ku szczęścia jutrzence,
Co nie błysnie nigdy na niebios roztoczy!

»Nigdy!« »Wiecznie!« »Nigdy!« — Serce krwią się
Jakby je polipy zgmiotły, sturamieńce, [broczy],
Konwulsyjnie...

— Cicho! coś w grobie czy we mnie się skarży,
Coś, mrąc, trwa jeszcze w woni nieujętej,
Jako kwiat.

POKŁON.

Rondo dla Ksaw. Hrubanta.

Smutku! Z łona wszechistnienia
Tchnienie twe się wypromienia
I na dnie radosnych szalów,
Jak brzęk cichy w szklach kryształów,
Nieuchwytnie budzi drżenia.

Tyś ów puhar upragnienia,
Gdzie tęsknica się wypienia
W bezmiar, precz od ziemskich kałów
Smutku.

Z pokolenia w pokolenia
Wstrząsaj dusze aż do rdzenia!
W łzach chorałów, w skrach zapalów
Cześć ci, ojczyzna ideałów,
Tajny wieszczu nieskończenia,
Smutku!

NAPIS NA GROBIE

»Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...«
— O wiejskich dzwonów dalekie lamenty!
O ciszy skrytych pośród niw cmentarzy! —
Nieboskłon ogniem zachodu się żarzy,
W szafir ciemnieją blade firmamenty.

— O aromaty macierzanek, mięty! —
W dal cicho płyną srebrne chmur okręty,
Dusza w woń cała roztapia się, marzy
Jako kwiat...

»Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada...« Święty,
Bezbrzeżny spokój, bez żądz, bez ponęty...
O nędzo lśniących żywota miraży!

* * *

Lilijną jeno biel swych rąk
Na spiekle oczy połóż me,
Abym bezsłownie duchem kląkł
I widział w marzeń wonnej mgły
Lilijną jeno biel.

Zgaś w ocz ogniskach skreś po skrze,
Ust granatowy zasłoń pąk,
Niech cicho, słodko, jasno śnie...

Ogłuszający zmysłów gong
Zmilka na sennej toni dnie,
Perłowy rozświt leje wkrąg
Lilijną jeno biel...

JESZCZE RONDO

Rondo, jak brylant pod słońcem, błyska.
Jak święta Grala z opali miska,
Tęcz, barw i światła mieni się zorzą,
A nie jest piewcy ciężką obrozą,
Lecz płodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym naksztalt greckiego dyska:
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
Sklada się w strofy, a strofy tworzą
Rondo.

Eolska gęźba! dla dum kołyska!
Cóż mi symplistów urągowiska!
W kragłe kielichy kwiaty się mnożą,
Kolisto usta w całus się złożą,
Kolistym rytmem samo wytryska
Rondo.

MIRIAM.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

»Z tą dewizą dniem po dniu w coraz grubsze
zasuwał się ciemności.« Często, zbudziwszy się w no-
cy, widział obrazy przeszłości »w żywych barwach«,
przesuwające mu się przed oczyma. Wówczas »pod-
skakiwał« na łóżku, jakby mu »kto kulę między że-
bra wpakował«.

»Temu rok, taki szczęśliwy byłem!¹⁾ Temu rok,
mój Boże!« — donosił Soltanowi, że się dostał do raju,
kiedy dziś w liście do tegoż Soltana nie zawahał się
napisać, że »najlepiejby się stało«, gdyby mógł »za-
chorować na jaką gorączkę i umrzeć«. Wobec tego,
nie dziw, jeżeli zazdrościł Gaszyńskiemu, który, są-
dząc po sobie, uważał, że odległość i czas — to je-
dnak najradzykalniejsze na miłość lekarstwa. On, nie-
stety, nie doświadczał na sobie prawdziwości tego
sposobu, bo jakkolwiek przyznawał, że »są miło-

ści, które duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni«,
to przecież twierdził stanowczo — sam o tem wiedząc
najlepiej — że istnieją również i takie, które właśnie
»sił nabierają« przez to, że ciągle pracują wyobraźnią
w niedostatku upragnionej rzeczywistości.« To powie-
dziawszy, dodaje: »Ja się w tym drugim przypadku
znajduję,« najlepszym zaś dowodem, że w usposobie-
niu jego »nic żadnej zmiany nie przyniosło«, są dwa
wiersze liryczne, »pierwsze w życiu«, a które w tych
czasach, z powodu zbliżających się imienin pani Jo-
anny, napisał:

O biedna! czegoż ja mam życzyć tobie?
Co wzbudzić w potęg czarnoksiężskim kole,
By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twym drogiem czole?

I chciałby, powiada, »odbić czasu niewstrzymane
fale«, ażeby nigdy koło niej »płasać« nie zaczęły, po-
nieważ gdyby do tego broń Boże, przyszło, kto wie,

1) Listy do Soltana. Kissingen, 10 lipca 1836 r.

czyby jej kochać nie przestał... Bo, niestety, taką już jest natura ludzka, mężczyzny zwłaszcza, że ubóstwiać potrafi tylko świeże i młode lice ¹⁾. »Ach! to piekielna ironia, ironia pierwsza wśród wszystkich na ziemi, zamykająca między dwoma zmarszczkami nieskończoność uczuć serca ludzkiego!« Tymczasem, odpychając od siebie owe przecucia goryczy, z przyjemnością malował wierszem: jej »oczy zmienne«, którym cierpienie lazuru nadawało barwę, a które się »z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały,« jeżeli w piersiach za wrzały »czary uniesienia« ²⁾; jej czoło »kiedy ożywione myśli snuły się jedno po drugim, jak cienie«; jej uśmiech, który »mdlejąc« zostawiał na twarzy »drobny ślad radości«, etc. I dlatego, zapewnia, chętnie gotów się rzec sławy i szczęścia, jeżeli mu one miały kiedykolwiek na ziemskiej przewodniczyć drodze, byle mu tylko ona piękną pozostała dłużej.

Bo życie moje przeplatałem
twojem,
Jak dwie złęczone niezmi-
szane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarb-
nym źródłem;
I gdy ty zwiędnieś, ja zga-
snę na wieki.

V.

W takim stanie uczuć, pod koniec lipca, udał się Zygmunt wraz z Danielewiczem i Sauvanem do Graeffenberga ³⁾ na hydropatyczną kurację w »szpitalu« słynnego podówczas »mistrza zimnej wody« Priessnitz'a, który go, w celu radykalnego wyleczenia, zatrzymał u siebie aż do ostatnich dni października.

Hydropatya, nie dająca mu »ani jednej

chwili pokoju ni czasu,« a będąca nieprzerwanem pasmem »gwałtownych wstrząśnień całego organizmu,« strasznie go wyczerpywała z początku: czuł się wciąż wątłym, »zglupiałym« i znużonym, tak jak gdyby »noc całą po sardanapalsku strawił i potrzebował zasnąć;« w nogach takie osłabienie, jak gdyby szereg dni bezprzestannie chodził po kilka mil; w mózgu »niedołę-
żność i ciężkość,« do tego stopnia, że na-
wet myśli, jak należy,
zebrać nie potrafił. Sło-
wem, był »do niczego«
i jeżeli nie zwątpił o
wszystkiem, to jedy-
nie dzięki perswazyom
samego Priessnitz'a i
innych kuracyuszów—
Salvanusa nie wyła-
czając — twierdzących
jednogłośnie, że »tak
być powinno,« że trze-
ba przejść przez długą
chorobę i gorączkę,
by wrócić do zdro-
wia ¹⁾.

Pod wpływem o-
wych »gwałtownych
wstrząśnień całego or-
ganizmu« i tego znu-
żenia fizycznego, na
które się tylokrotnie
w listach do przyjaciół
uskarża, znużenia, któ-
re, jak stwierdza psy-
chologia doświadczal-
na ²⁾, stokroć niebez-
pieczniejszym jest »u-
czuć mordercę,« ani-
żeli przestrzeń i czas,
zaczął Krasiński, nie
zauważywszy nawet,
jakiej podlega meta-
morfozie, o stygać
gwałtownie: miłość je-
go, tak do niedawna
rozpaczająca, taka —
możnaby mniemać —
niepocieszona i tęskna,
zaczęła się ulatniać nie-
znacznie, »znikać z du-
szy,« a wszystko to
bez wiedzy poety, któ-
ry z procesu psycho-
logicznego, jaki się we
wnętrzu jego odbywał,
bynajmniej sprawy so-
bie nie zdawał. Choć
można by go o to po-

CZESŁAW JANKOWSKI.



GWIAZDKA.

¹⁾ Por. List do Soltana. Graeffenberg, 25 aug. 1836.

²⁾ Por. z tym opisem »zmiennych oczu« pani Bobrowej wiersz Słowackiego: »Do Ludwiki Bobrówny« (starszej córki pani Joanny) wiersz, w którym również podniesione są »w oczach cztery zmiany«:

Wtenczas ja powiem srodze rozkochany
I nawet w rymy to zamknę królewskie;
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

³⁾ Jadąc do Graeffenberga, zatrzymał się Krasiński tydzień prze-
szło w Pradze czeskiej (zob. listy z tamtąd do Soltana i Gaszyńskiego).

W Pradze też rozłączyli się na czas jakiś z Konstantym, który póź-
niej dopiero przyjechał do Graeffenberga, zamieszkawszy jednakże nie
razem z Zygmuntem, jak Sauvan, w zakładzie Dra Priessnitz'a, lecz
we Freiwaldau, poblizkiem miasteczku.

¹⁾ Zob. Listy t. I, 20 okt. 1836 oraz t. II, 15 aug. 1836.

²⁾ Zob. Höffding, »Psychologia doświadczalna« t. I. str. 102—
103; 148—149, oraz t. III, str. 7—8 w rozdziale p. t. »Fizjologia
i biologia uczucia: Uczucie i warunki życiowe.« Ob. również *notre
coeur* Maupassanta i *Le disciple* Bourgeta, powieści, których bohate-
rowie, świadomi praw, rządzących duszą ludzką, w znużeniu wywoła-

sądzić, wnioskując z listu do Soltana z dnia 25 sierpnia 1836 r.¹⁾, listu, w którym stanowczą przyznaje wyższość przyjaźni nad miłością. Bo »przyjaźń jedna nie wiednieje. Jest to zapewne do miłości, jak sosna lub cyprys do róży, ale też wiecznie zielone.« Słowa te, wypowiedziane z głębi przekonania, świadczą najwymowniej, że róża jego pierwszej miłości zaczynała powoli — tu w Graeffenbergu — przekwitać, że najpiękniejsze jej liście — iluzye — więdły i opadały jedno po drugim.

Jednocześnie nasuwały mu się myśli w rodzaju tej: »A w duszy kobiety samej co się dzieć musi, kiedy czuje, że ten, co dawniej ją bóstwem przezywał, dziś stroni od niej...²⁾« Kreśląc słowa powyższe, nie mógł nie pomyśleć o pani Bobrowej, tak samo, jak nie mógł w tejże chwili nie zadać sobie pytania: co by uczynił, widząc, że miłość w nim »wiednieje« powoli, że nie jest już ani tak gorącą, ani tak namiętą jak dawniej. Co by uczynił? Odpowiedź łatwa do przewidzenia. Nie zapomniał by ani na sekundę o długim moralnym, jaki względem kochanki zaciągnął, i dla tego, chociażby mu nawet przyszło zubożnąć kiedy, starałby się wystudzone uczucie »czyli raczej głębie serca zastąpić serca powierzchnią.« Na powierzchni bowiem »szumi egoizm jak piana,« w głębi zaś »żyje szlachetność i poświęcenie, jak perły i koralowe skały na dnie morskim.« Ile razy by uczuł, że »fale zewnętrzne ucichły,« zastąpiłby głębiej i, zanurzwszy się w wnętrzu swoim, przysłuchiwałby się głosom, co tam wołają; ponieważ »są to anielskie!« One by go zawsze na dobrą wyprowadziły drogę i nie pozwoliły, »by *impressionabilitas* górę wzięła nad tem, co winno być niewzruszone, nieodmienne, jak fatum³⁾).

Tymczasem, ponieważ jeszcze do niczego podobnego nie przyszło, ani, jak mniemał, zanosilo się na cośkolwiek, coby ukochanej jego grozić mogło, nie uważał za niestosowne zwolnić trochę cugli owej *impressionabilitas*, i nie widząc w tem nic zdrożnego, zaczął — jedynie *pour passer le temps* — pomagać Sauvanowi w »koperczakach z ładną hrabianką Reichenbach, Prusaczką, bardzo do rzeczy, ale dobroduszną, jak wszystkie Niemki,« którą tenże, nudząc się bardziej jeszcze, aniżeli jego przyjaciel, i nie mając na razie nic lepszego do czynienia, »na wszystkie sposoby uwodził: to botaniką, to metafizyką, to zoologią, to polityką, to statystyką, to ekonomią polityczną. Taka rozmaitość broni zdaje się wróżyć zwycięstwo.« Krasinski postanowił użyć jednego jeszcze środka: poezji. W tym celu korzystając ze sposobności, że mu Gaszyński nadesłał tomik swoich wierszy francuskich, »czułych i pięknych« zaczął je czytać »ślicznej« Adelaidzie Reichenbach i jej ciotce, lektura zaś jego taki odniosła skutek, że się Niemki aż »rozplakały«. Nadto prosiły go, aby im utwory swego tak wielce utalentowanego przyjaciela odpisał na pamiątkę, co też on, jak przystało na usłużnego *caballero*, uskutecznił. Potrzebował na to wprowadzić całych sześciu tygodni czasu, »codzień jeden lub dwa tylko dodając,« lecz jest to już szczegół podrzędny. Ważniejszą bez porównania była okoliczność, że mąż pięknej Adelaidy, »stary Hof-Marschal« pomorski⁴⁾ przyjechał tu

»w nadziei odmłodzenia« siebie, i że choć »stary nie-dolega,« nie znał, co zazdrość, tak, iż nie miał naprzykład nic przeciwko temu, jeżeli żona jego, z ciotką, we dwie spędzały z Krasinskim i Sauvanem często popołudnia i wieczory całe »w pobliskim miasteczku« u Danielewicza, który im grał na fortepianie.

Odwiedziny te stanowiły jedyną na tej »planecie ołowianych nudów« przyjemność. Przez cały też czas »dopóki trzysta osób jadło w sali graeffenberskiej, dopóki świeciły gwiazdy lata, chadzali po tej drodze z piękną Adelaidą Reichenbach i jej ciotką...« Zdarzało się to czasami i »późną nocą«. Nieraz nawet powracał Krasinski sam tylko »z temi paniami.« Wśród okolicy »cichej, jak uspione dziecko,« nad którym, »jak mamka,« czuwał księżyc, »cicho było i pięknie.«

Gdybyż o tem wiedziała pani Bobrowa!

Wróciwszy na początku listopada do Wiednia, gdzie ulegając życzeniu ojca, miał przezimować, choć dusza tęskniła za lazurów niebem Włoch, »chory na ciele i na duszy,« a przede wszystkim na oczy, rozstrojony bardziej jeszcze, aniżeli przed kuracją w Graeffenbergu, znalazłszy się w tutejszym świecie polskim, kipiącym »plotkami, przekasami, potwarzami, zazdrościami, głupstwami,« i innemi, podobnemi do tych, przymiotami, »obserwował« go i uczył się, jak powiada, »w szkole podłości i próżności, nie być nigdy podłym, a próżnym, jak można najrzadziej.« Obdarzony zmysłem spostrzegawczym, żadnej nie prześlapiającym śmieszności ludzkiej, czy towarzyskiej, wiedział doskonale, że wszyscy, jeśli są grzeczni dla niego, nadszkakujący, to »nie dla Zygmunta, nie, broń Boże! tylko dla tej figury, co posiada coś i doszła do lat sposobnych do zawierania interczy.« Gdyby był chudym pacholkiem, kazaliby go wyrzucić przez okno¹⁾. Swoją drogą, nie przeszkadzało im to, zwłaszcza »wystrojonym matkom,« mającym »piękne panny« na wydaniu, »nękać go dwuznacznymi wyrazami,« przeszłości jego dotyczącymi²⁾. Musiał wtedy — powiada — »być bezczelnym, by nie zblednąć, jak trup«; serce mu się krajało, a odpowiadał zimno, obojętnie, udając, że nie rozumie.

»To strach, jak wszystko wiedzą na świecie!« Przytaczano mu słowa, czyny jego własne; a jednak trzeba było przeczyć, i to z dyplomatycznym, konwencyonalnym na ustach uśmiechem. »Ale to śmiech konających,« to śmiech człowieka, nieszczęśliwego przez to, że coraz bardziej stawało mu się widocznem i dotkliwem »jak dalece i nieodwołalnie imię tej, którą kochał, puścił na łup językom ludzkim.« »Biada mi! hańba mi!«

»Chwili jednej nie było — czytamy w liście do Jaroszyńskiego — żebym nie marzył o szczęściu jej, o chwale jej, o dobru jej, o piękności jej, a skutek jaki? Rozważ sam, powiedz, czy to nie szyderstwo, nie zabójstwo, nie piekło? Co ja im zrobię tym wszystkim teraz! Mogę usta paplaczy zamknąć na wieki? Co począć z dziewczynami i staremi babami?« On by je »w proch rozetrzeć« pragnął, a musi bawić dowcipem! Mężczyźni zaś? »Mężczyzna żaden się nie przesunie, żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Rozkosz zemsty nawet niedostępna dla mnie!« Dopiero, gdy wyszedł, a więc kiedy nikomu już nie mógł nakazać milczenia, zaczęli »gwarzyć i szarpać.«

Dlatego też ograniczył wizyty swoje do *minimum*

nem forsownemi spacerami, aż do wyczerpania sił, znajdując skuteczne lekarstwo na miłość.

¹⁾ Listy t. II, str. 43.

²⁾ Graeffenberg. 25 augusta, 1836 (do Soltana).

³⁾ Zob. Listy do Gaszyńskiego, str. 99—100.

⁴⁾ Zob. List do Soltana, Graeffenberg 15 augusta, 1836.

¹⁾ Zob. Listy do Soltana. Wiedeń 23 lutego 1837, str. 78.

²⁾ Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 21.

i, stroniąc od tego towarzystwa, nacechowanego »drobnymi podłościami«, bywał jedynie w »smutnym« domu ks. Konstantego Czartoryskiego i u księżnej Lubomirskiej, z którą radził, jak umożliwić przyjazd Maryi Sołtanówny do ojca¹⁾, albo rozmawiał o Rzymie, o Włoszech, tej swojej ziemi obiecanej, na samą myśl o której ogarniała go nostalgia, melancholia, szczególnie, gdy nadszedł karnawał, bale, maskarady, reduty.

Nie był na żadnej. Wolał marzyć o karnawale rzymskim z roku 1835, a pisząc do Sołtana, pytał stęskniony: co porabia krzyż na Koloseum? Co białe nagrobki pod piramidą Cestiusza? »Czy droga moja Cecylia Metella wdzięczy się księżycowi Kampanii, jak dawniej? Czy też ona pamięta o mnie?« I wyobrażał sobie, że spaceruje po *due Marcelli*, że pali fajkę, rozciągnięty w ulubionym swym »senatorskim krześle« kamiennym. W nocy zaś, powiada, »często bywam na Forum i czytając napis S. P. Q. R. myślę, że tak wszystko się kończy na ziemi.« I prosi przyjaciela²⁾, szczęśliwego, że może oddychać »wiosną boską, co wschodzi na gruzach«, ażeby poszedł do willi róż, gdzie on tyle chwil przeżył szczęśliwych, a jeśli go miesiąc zastanie w ogrodach Cezarów, to niech pomyśli, że między ruinami »przesuwa się postać, na tych samych zadumana miejscach, postać bez pokoju i radości, postać, która wszystkiego żąda, a nic nie może, a która obecnie, zmuszona patrzeć na szare niebo, na ziemię, zaszarzaną śniegiem i błotem«, nie widzi dokoła, »tylko podrygi schorowanych, grypy, kaszle i flegmy kałuże.« To też, niech tylko Danielewicz coś zagra z czasów³⁾, kiedy byli w Neapolu, z czasów, które mu się dzisiaj »wiosennymi« wydają, uczuwał natychmiast taką żądzę, taką poprostu »lubieżność skończenia bytu«, że trudno mu było nie »westchnąć z żalu«, skoro przebrzmiały akordy... W duszy swojej bowiem nie widział nic, nic absolutnie, na czymby mógł, znużony tem wszystkim, wypocząć. Nic! »Żadnej gałązki zielonej po potopie, żadnej *oasis* na puszcz, żadnej nadziei na przyszłość! Pić opium i marzyć, to szczęście największe.«

Żeby choć mógł pisać! Ale i na to, niestety! widział, że braknie mu sił. »Duch bezwładności« opętał mu głowę: w mózgu czuł »mgłę«, z której nie wyłaniało się nic... Co najwyżej obawa ślepoty!

Raz tylko w nocy, nie mogąc spać, co mu się temi czasy przytrafiało nader często, siadł do stolika i, patrząc na świeżo przysłaną sobie z Wołynia miniaturę pani Joanny, »śliczną i żywą«, przez Torre'go⁴⁾,

¹⁾ Sołtan, który w tym czasie utracił ojca i jedną z córek, przebywał w Rzymie. Córka jego, Marya, o której sprowadzenie chodziło, przebywała w klasztorze zakonu Wizytek w Kamieńcu Podolskim, pod opieką vice-przeoryszy, panny Szadurskiej.

²⁾ Sołtana, w liście z d. 24 kwietnia 1837 roku.

³⁾ List (do Sołtana) bez daty, odebrany w Rzymie 27 kwietnia 1837 r.

⁴⁾ Włoch ten, nazwiskiem Torre, bawił rok cały na Wołyniu, w Zahajcach i malował portret pani Bobrowej. Ukończywszy go, w powrocie do Wenecji, zatrzymał się czas jakiś w Wiedniu. Odszukawszy tam Krasieńskiego, oddał mu wraz z listem od kochanki jej miniaturę, będącą wierną kopią pomienionego portretu. »Malarz, Włoch z Wenecji, który rok siedział na Wołyniu i wiadomy ci obraz robił, przywiózł mi tu kopię śliczną i żywą. Mam ją na stoliku. Często w wieczór, sam jeden siedząc, marzę nad tym obrazem, aż mnie przebudzi pytanie, grzmiące w głębi duszy: »Jaka przyszłość twoja?« I wtedy świat marzeń pęka i zdaje mi się, że coś twardego, obrzydliwego mnie obejmuje. I gdybym w takiej chwili mógł ducha w lepsze strony wyzionąć, bez cierpień konania, Bogu bym podziękował. Co z życia kiedy siły spać muszą, spać będą coraz głębszą nocą; kiedy nic nie nęci, nie zapala, nie wstrząsa« i t. d. List do Sołtana z Wiednia 17 stycznia 1837.

»Włocha z Wenecji«, malowaną, wpadł w zamyślenie, z którego po chwili wyrwało go »pytanie grzmiące w głębi duszy: Jaka przyszłość twoja?«

Pod tem wrażeniem napisał wiersz¹⁾ od następującej zaczynający się strofy:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna,
Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
Bywa, jak w niebie, świeża i radosna.

Tymczasem, powiada, chociaż nie z jego, ani z jej winy, odmienny wszystko wzięło obrót i przyszło do tego, że on, którego tak niedawno jeszcze »obwiewał anioła stróża śpiew«, on, którego duszy stał niegdyś otworem świat duchów, znalazł się nagle sam »wśród nieskończonego okręgu cieniów«, w próżniach ducha, dokąd już śpiew owego Anioła stróża, ginąc gdzieś »na kończynach świata«, zdawał się nie dochodzić.

Ach! głos twój gdyby ponad moim czołem
Ozwał się, lecąc od dalekiej strony,
Choć raz się ozwał wiatrami niesiony,
Ten głos twój byłby mi takim Aniołem.

Przed nocą wieczną²⁾ niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę,
Wejdzie mi błady księżyc zmartwychwstania.

A jeśli płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

Wiersz ten, napisany 20 listopada 1836 r. a więc niebawem po powrocie z Graeffenberga, był, można powiedzieć, jak gdyby ostatnim błyskiem dogasającego kaganka, zmiana zaś datująca odtąd w uczuciach poety dla pani Joanny na tem polegała głównie, że miłość — jak dogasający kaganek — zgasła ostatecznie, ustępując miejsca — z obawy przed zarzutem lekkomyślności — skrupułom, wynikającym z »idei obowiązku«, szlachetności osobistej i »poświęcenia«³⁾.

»Wiem — pisał poeta 9 stycznia 1837 r. do Gaszyńskiego — iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy«; ale — dodaje — »jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twej wdzięczności, winienes z nią postępować tak, jak gdybyś ją kochał«.

Takie przynajmniej było jego zapatrywanie w tej mierze, zapatrywanie, które obecnie, z bohaterskiem zaparciem się siebie, postanowił z teorii przenieść do praktyki, ponieważ to tylko »różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie, popęd, namiętność zgasnąć sztucznie »przeciągnąć w zewnętrznych czynach«, jeżeli tak nakazuje honor, uczciwość, sumienie. W chwili, gdy zaciągamy dług — rozumował — powinniśmy wiedzieć, że ostatecznie »wszystko się odmienia, rozprasza, znika: piastry, myśli, uroki.« Nawet wspomnienie chwil czarodziejskich, musnąwszy duszę, »jaskółczo przemija« w końcu.

To też od czasu, jak bawił w Wiedniu, jednej tylko prawdziwej doznawał pociechy, a mianowicie: ile razy bywał w *Burg-Theater*, kiedy grano tragedye i kiedy występowała pani Rettich, której artyzm w Schillerowskiej »Dziewicy Orleańskiej« podnosiła jeszcze niezwykła uroda⁴⁾. A że »przeznaczenie

¹⁾ W listach do Gaszyńskiego na str. 92.

²⁾ Obawa ślepoty.

³⁾ Zob. List do Gaszyńskiego z Wiednia 9 stycznia 1837 r.

⁴⁾ »Kiedy patrzę na nią, czuję strumień życia w poprzek piersi wybuchający« (do Sołtana 17 stycznia 1837 r.). W liście z Rzymu

ubłogosławiło duszę człowieka niewyczerpanem pragnieniem piękności i siły», i on więc także, patrząc,

9 decembra 1838 roku załącza następującą prośbę do przebywającego wówczas w Wiedniu Soltana: »Rettichowej trzy za mnie poklaski, trzy silne, trzy głośne daj.« Przedtem zaś, z Wenecyi, d. 28 novembra 1838 r. prosi: »Powiedz też cokolwiek o Burgu. Co Rettich porabia?«

(Ciąg dalszy nastąpi).

jak walczy Joanna d'Arc — imienniczka jego kochanki — doznawał złudzenia, że jest »w niebie«. Czuł przytem, że iskra udzielona przez bogów, dotąd mu się pali w piersiach... »Nie moja wina — dodaje — jeśli płomienia z niej nigdy nie będzie.«

FERDYNAND HÖSICK.

LIST HANUSI.

(Z EPICZNEGO POEMATU NA TLE PODHALAŃSKIEM).

»Kochany Jerzy mój! Pisę tu ztela¹⁾
Ten list do tobie, a pisęcy, płacę.
Świat mię calutki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
Kraju i cy cię tez jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił
Mój złociusienki, tobyś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego niewię, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmieją.

Zal mię za tobom wciagle w serce kłuje
I niewiem, ka się me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi się, co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk chyba ja sama wolala
Lezeć hań, niżli tak płakać doremno,
A kie spać legnę, to poduska cała
Mokra, kie wspomnę.

.
.
.
.

Ja znam, ze biedna ja prosta dziewczyna
Górska, o mój ty najśłodszy, złoty,
To nie dla tobie, dla pańskiego syna,
Ale juz ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
Nijakiej niemam do jadła ochoty,
Ani do tańca. Chłopcyska się śmiejom,
A moje siwe ocy wciąż łzy leiom.

Kie na odwiecerz²⁾ przed chałupom stanę,
Pojrzę, jak słonko za wirchy się kryje,
Wspomnę, jak my się pod tę samą ścianę
Kryli, to zal mię mało nie zabije,

¹⁾ ztąd — (tu ztela).

²⁾ o zmroku — (na odwiecerz).

A serce moje, jakoby pijane
Tłuce się w piersiach. Tęca wodę pije
Z rzeki, ale tych łez wypić nie musi³⁾,
Co ocy twojój wypłacom Hanusi.

Jasiek tu chciał mnie brać, a mama z tatą
Straśnie go radzi widzom, ale ja nie.
Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
Zimom, a zima przódziej latem stanie,
Niżli ja bedem jego. Więc się na to
Ozgniewał i rzekł, co on mię dostanie,
Chybaby w niebie miesiącek zaginon,
Abo Dunajec w górę się przewinon.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody⁴⁾,
Takek cię ino syćko wygłondała,
A tak mi było, jak rybce do wody,
Jazek się sama do się głośno śmiała,
Ale juz wsendy potajały lody
I śnieg juz w turniach wyginon bez mała,
A tobie niemas jednako nikany⁵⁾,
Mój złociusienki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
Abo co inse, od cego chroń Boze.
Nie zabacujze tak swojej dziewczyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
Ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niech cię Bóg strzeze i Najświętsza Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję

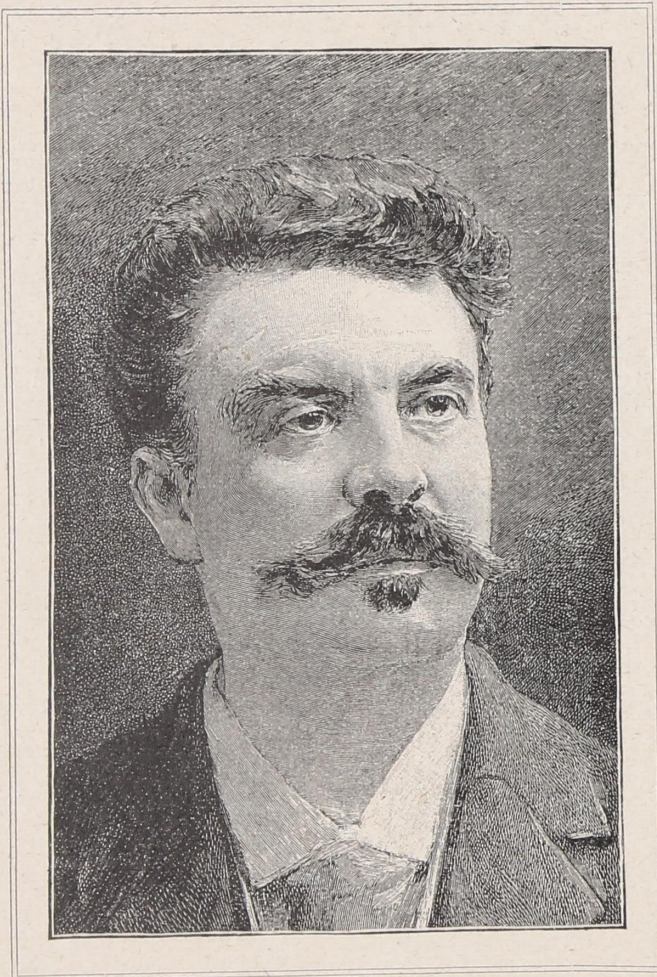
Anna.«

³⁾ niepotrafi — (nie musi).

⁴⁾ Boże Narodzenie — (Gody).

⁵⁾ nigdzie — (nikany).

KAZIMIERZ TETMAJER.



GUY DE MAUPASSANT.

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

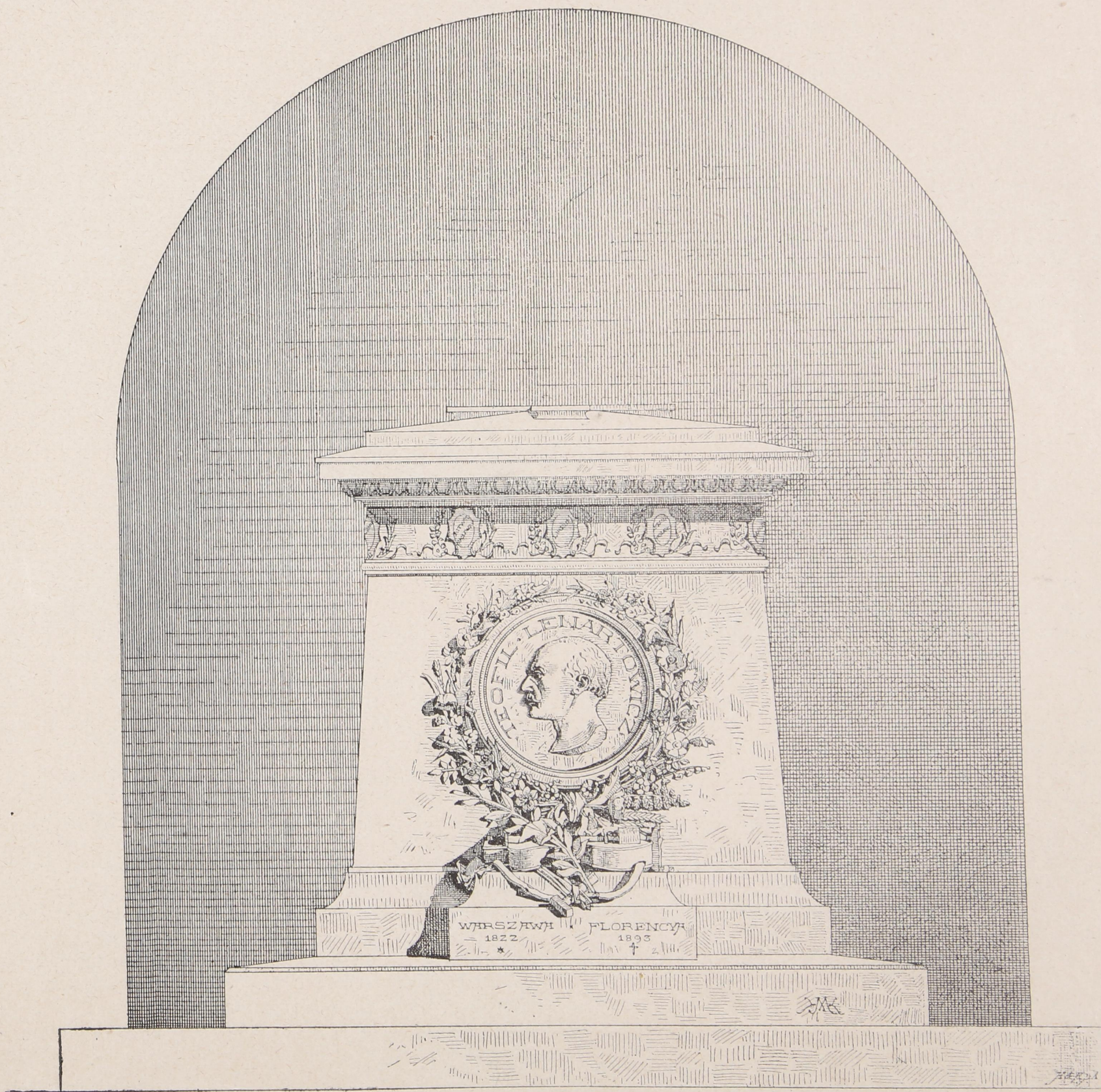
(Ciąg dalszy).

Karyerę publiczną rozpoczął Morstin na dworze Maryi Ludwiki w szeregach stronnictwa reformy. Zapatrywania swoje z tych czasów na formę rządu i ustrój prawno-polityczny Polski złożył w utworach poetyckich za Jana Kazimierza napisanych, a zapatrywania te nie różniły się niczem od programu monarchistów. I on wytykał, że wiele instytucyj jest w Rzeczypospolitej wadliwych, że kraj bogaty, przedmurze i warownia chrześcijaństwa sam od szczęścia ucieka, szukając własnowolnie zguby i w końcu na równi

z innymi wynalazł lekarstwo: »rządu potrzeba!«¹⁾ Napomykając o kandydaturze księcia de Condé poświęcił stancę zabiegom królowej, wyśpiewał w niej hymn pochwalny na cześć jej politycznych planów i skargę na krnąbrność narodu odpychającego od siebie zbawienie; nie w ustawodawstwie upatrzył powód anarchii, ale w chciwości, niesłowności, prywatnych

¹⁾ Wiersz p. n. »non fecit taliter ulli nationi«, wyd. poznań. fałszywie pod imieniem Zbigniewa drukowane. str. 123.

SARKOFAG NAD GROBEM T. LENARTOWICZA W KRYPCIE ZASŁUŻONYCH NA SKAŁCE.



RYSOWAŁ JE. RZYMKOWSKI.

PROJEKTOWAŁ KAROL M. KTHUS.

praktykach i ślepej wierze w płonne nadzieje¹⁾. Morstin radby ujrzeć na tronie dziedziczną dynastję, naturalnie z Francji przeszczepioną, zachęcałby do ukrócenia demagogii i swawoli gminu szlacheckiego w danym wypadku, ale bynajmniej nie hołdował teoryom panowania w stylu absolutnym, ani teoryom wyposażenia pierwiastka monarchicznego w potężną siłę i powagę. Tylekroć wspomniany biskup Bonsy, bliski znajomy i ojciec chrzestny średniej wiekiem córki podskarbiego, Ludwika Maryi, zapewniał, że Morstin był usposobienia dosyć republikańskiego i dlatego prosił ministra de Lionne, aby w czasie pobytu w Paryżu chwalono przed nim wolności i przywileje polskie²⁾. Uwaga biskupa była najtrafniejszą. Morstin mógł potępiać — jak każdy człowiek trzeźwy i w przyszłość cokolwiek patrzący — nieład, rozprzężenie fatalne i upadek społeczeństwa, pragnął dlatego wzmocnienia czynnika monarchicznego, skonsolidowania Rzeczypospolitej na wewnątrz z równoczesnym utrzymaniem swobody ogółu; był rodzajem konstytucjonalisty w dzisiejszym rozumieniu. Skoro Bonsy kazał sławić przed nim wolności polskie musiał odczuwać, że Morstin miał do nich pewne przywiązanie, słabość, że z tego zwolennika reformy wyglądał kawał zwykłego szlachcica. Cudzoziemszczyzna, zagraniczne maniere, cechowały postać podskarbiego. Nosił się z francuska, włos zapuszczał długi, troskliwie trefiony, spływający w obfitych pierścieniach na szyję, wąs golił, przez co grube wargi ku przodowi się wydymały. Bonsy nie wahał się orzec, że nie widział Polaka mniej polskiego niż on i z ironią rodowitego Francuza przyznawał mu jedyną wspólność z narodem, którego był członkiem: upodobanie do interesu i wina!³⁾ Podobny do biskupa belowańskiego wydobywał się sąd z pośród społeczeństwa szlacheckiego; zarzucano podskarbiemu niemal odszczepieństwo od ideałów patriotycznych, narzekano, że najstarszą córkę oddał we Francji do Pannien Urszulanek i zmusił do złożenia ślubów, że żonie, dzieciom, czeladzi kazał rozmawiać po francusku i wobec cudzoziemców lżył ziomków, że portret króla Jana usunął z pod baldachimu i odradzał kupcom paryskim udzielać kredytu Polakom, jako narodowi nierzetelnemu i łamiącemu chętnie zobowiązania⁴⁾. Skargi te dyktowała namiętność podsycana stronnictwem zawiścią; było w nich przeważnie brukowe plotkarstwo. I w utworach poetyckich odsonił wyłącznie Morstin swój świat wewnętrzny, indywidualny, odległy od gwaru politycznych prądów, zaludniony uczuciami kochliwości i tkliwego erotyzmu — i tą cechą muzy swojej stanowczo odróżnił się od wszystkich poprzedzających go i współczesnych mu synów Apollina⁵⁾. Inni pieśniarze częściej lub rzadziej nastrajali struny lutni swojej na cześć ojczyzny, on zaś prawie ją pominął; może czynił to z właściwej sobie skłonności do skrytego, ostrożnego postępowania. Jeżeli strófuje w jednej zwrotce nierząd i niedołęztwo pospólstwa i zaleca reformę, wskazuje błędy jak obojętny krytyk; nie większym płonem zapalem, niżby zapłonął pokrewny mu zdolnością włoski liryk Marino, lub Hiszpan albo Anglik jakiś, gdyby wierszem uderzał na niesforność i anar-

chię w Rzeczypospolitej. Mimo powyższych znamion, trudno, rozpatrzywszy się w całym życiu tego człowieka iść za opinią Bonsy'ego i części społeczeństwa; bezwzględnie i łatwo rozwiązać można zagadkę, dlaczego tak uwłaczające potępienie rzucono na jego charakter. Morstin przywykł w zawodzie swoim politycznym naginać się do okoliczności; znacznie większy posiadał popęd do czynu niż do myśli; gorączkowa obrotowość w świecie i w działaniach dyplomatyczno-gabinetowych, nadała jego powierzchowności cechę zimna i obojętności; taktyka używana przy załatwianiu interesów publicznych odbiła się na fizjognomii i aktach uczucia tego człowieka. Ciągłe intrygi polityczne, życie w stolicach europejskich, urobiły z Morstina światowy typ, wyzuły go ze szlacheckich nawyków, przyoblekły tak dobrze w wygląd katalońskiego granda, jak paryskiego markiza, pokryły umysł naleciałością zachodniej cywilizacji i przez tę właśnie odrębność od reszty narodu wytworzyły cały szereg zwyczajnych nie rzadko pozorów, które współczesnych raziły i drażniły, a dlatego uchodziły za rzeczywistość. To bywalstwo za granicą i przyswojenie sobie obcych pojęć umysłowych i moralnych, to życie się z atmosferą społeczną francuskiego ustroju, postawiły go z czasem w sprzeczności z krajem rodzinnym, który przez porównanie z innymi państwami stracił u niego na wartości. Ciasno mu się zrobiło pośród swoich, częścią duszy poleciał gdzieś indziej, gotów był iść między cudzych w przeświadczeniu o ich większej doskonałości. I czyż nie spoczywała w tem usposobieniu tajemnica listów naturalizacyjnych?

Co do religijnych wierzeń był Morstin w ostatnich latach pobytu w Polsce nabożnym, przyznawał się do katolicyzmu »trydenckiego«, ale poprzednio z uśmiechem libertyna spoglądał na kwestye biblij i pisma świętego. W dziwnie rzewnej spowiedzi wyśpiewanej w roku 1678, po wydobyciu się z obłożnej choroby, ze skruczą błagał nieba o pokutę za znieważanie zakonu i przykazań wiary, za wicherzenie przeciw odwiecznym prawdom, za wywyższanie niekiedy człowieka ponad Boga. Otwarcie wyznał, że rzadko przestępował progi kościoła i chociaż w dniu świątecznym zwykłej zaprzestawał pracy, oddawał się zabawom, zbyt kom, spożywał tłustsze niż zazwyczaj obiady i tonał w wesołej pohulance¹⁾. Po uzdrowieniu i podźwignięciu się z ciężkiej niemocy zamienił się na pokornego grzesznika, który z namaszczeniem ascety posypał popiołem głowę i chylił czoło przed światłem wiary. Jakby na znak szczerzej poprawy ufundował Morstin znacznym kosztem kościół i konwent OO. Bonifratrów w Warszawie, za Augusta II. na inne przeniesiony miejsce²⁾. Dziwna chronologia wypadków... Potężny przełom duchowy zrodził się w duszy tego człowieka niemal równocześnie z zamiarem opuszczenia kraju i z zupełnym oddaniem się na usługi Francji ze szkodą dla ojczyzny. Morstin około tego czasu dźwigał brzemień smutku, fizjognomia jego sposepniała. Szukając w jego poezjach analogii do przygód praktycznego życia widzi się wybitną różnicę między dawniejszymi a ostatnimi, podznaczonymi datą roku 1678. W tamtych igrała myśl młodzieńcza swobodna aż do pustoty, brak troski i kłopotów uśmiechał się bujną fantazją, jakby odzwierciedlenie się popolitycznych powodzeń poety — w późniejszych przeci-

¹⁾ Poemat »Psyche«, strofa 44.

²⁾ Bonsy do de Lionne. l. c.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ »Ad punctum abusus functionis poselskiej J. P. Podskarbiego.« rkp. archiwum XX. Czartoryskich w Krakowie. Vol. nr. 419.

⁵⁾ Świdorski Tytus: »Jan Jędrzej Morsztyn«. Studium literackie. Przewodnik naukowy i literacki. T. VI. str. 800. — Rok 1878.

¹⁾ Wydanie poznańskie poezji. »Pokuta w Quartannie« r. 1678.

²⁾ Niesiecki: herbarz. wyd. Bobrowicza. T. VI. str. 469.

wnie rozwieliło się zwątpienie, niesmak do ludzi i przez to skłonność do częstej modlitwy³⁾.

Natura skojarzyła w Morstynie dwa zwykle odpychające się pierwiastki: niepospolity talent rymotwórczy i znakomite uzdolnienie na męża stanu. Pieszczotliwy ten śpiewak miłości, który czuł piosnkę nucił dla pani swego serca, który rozwijał w barwnych zwrotach tęczę najsłabszych uczuć, umiał szybko ziębnąć, zapominać o muzie i z wyższego natchnienia wpadać w jałową prozaiczność; umiał prawie jednocześnie uderzać o struny liry i gabinetowe nawiązywać intrygi. Czynny, pracowity jako dyplomata, w otoczeniu gości wyzbywał się ciężaru intere-

³⁾ Siemiński: »Jan Andrzej Morsztyn«. Portrety literackie. T. I. str. 132, 133.

(Ciąg dalszy nastąpi).

sów, duszą całą oddawał się zabawom i towarzystwu, odgrywał rolę aranzera na różnych bankietach, lub układał balety na uroczystości dworskie, w których każdej damie biorącej udział w widowisku grzeczną śpiewką, delikatną aluzją się przymilał. Do wszystkiego, jak Bonsy zaświadcza, nadawał się, do tańca i do różańca. Posiadał w sobie siłę sympatyj i czaru, którą ludzi wabił, posiadał zarazem jakąś demoniczność i tajemniczość, którą odpychał ich najdalej i stawiał w rzędzie swoich nieprzejednanych wrogów. Te wszystkie pierwiastki dobre i złe, szlachetne i ujemne, składały się na czyny człowieka, toczyły w jego duchu długą i bezprzeczną walkę, dopokąd go nie pchnęły na najsmutniejszą, najrozpaczliwszą drogę, na drogę rozbratu z ojczyzną...

ERNEST DEICHES.

K R O N I K A.

* W krakowskiej Szkole Sztuk pięknych odbyło się w połowie ubiegłego miesiąca zamknięcie roku szkolnego i rozdanie nagród za prace konkursowe na zadany temat. Medalu złotego nikt nie otrzymał. Medale srebrne dostały się w udziale: za rysunki z żywej natury Jan Bąkowski (kurs III), za malarstwo z żywej natury Karol Polityński (kurs VI). Medale brązowe: za rysunek podług figur z antyku Krzysztof Kutew (kurs II), za malowanie głów z natury Leon Kowalski (kurs IV). Nagrody pieniężne pierwszorzędne otrzymali: za głowę z natury (rzeźba) Jan Bąkowski, za malowanie głów z natury Piotr Laszkowski (kurs V), za całą figurę z antyku Andrzej Zarzycki (kurs II). Nagrody drugorzędne: Stanisław Budziński za głowę z antyku (rzeźba) i Franciszek Marszałek (kurs IV) za malowanie głów z natury. — Wystawa prac uczniów tejże szkoły gromadziła wcale liczną publiczność. W dziale rysunkowym i malarskim zwracały na siebie uwagę, nawet wybredniejszych znawców, prace: Christo Kutewa (Bułgara), Bąkowskiego, Karpińskiego, Zarzyckiego, Kowalskiego, Trusza, Markowicza, Polityńskiego i Okonia, nie mówiąc już o kursie najwyższym, kierowanym przez samego mistrza Matejkę, w którym szkice i dzieła tej miary artystów co Tetmajer i Wodzinowski wychodzą już z ram szkolnych i należą do popisów ogólniejszego znaczenia. Wykończone, staną się one ozdobą każdej wystawy. W dziale rzeźbiarskim głowa starca p. Bąkowskiego i głowa młodej kobiety p. Bębnowskiego były świadectwem niezaprzeczonego talentu i umiejętnej pracy tych młodych, wielce zdolnych — przyszłych rzeźbiarzy.

* Jan Matejko, po trzytygodniowej kuracji w Karlsbadzie, powrócił do Krakowa. Stan zdrowia mistrza jest zupełnie zadowalniający.

* Piotr Stachiewicz wyjeżdża na sierpień do Zakopanego dla odpoczynku i poratowania zdrowia.

* Jan Gall, sympatyczny kompozytor i prof. krakowskiego konserwatorium muzycznego, z upoważnienia odnośnej sekcji komitetu przyszłorocznej wystawy krajowej we Lwowie i za zezwoleniem władz duchownych rozpoczął poszukiwania dawnych polskich dzieł muzycznych po klasztorach i kościołach diecezji krakowskiej.

* Mieczysław Pawlikowski opuścił Kraków i udał się nad morze, gdzie bawić będzie do jesieni.

* Władysław Maleszewski, redaktor *Biesady literackiej* w przejeździe do Zakopanego gościł w Krakowie dzień jeden.

* Kazimierz Pochwalski przejechał przez Kraków, aby się udać do Zakopanego. Następnie artysta nasz przenosi się na czas krótki do Lwowa dla malowania portretu księcia marszałka krajowego.

* Edward Jelinek gościł w Krakowie dzień jeden w przejeździe z polskiego Pomorza do Zakopanego, gdzie spędzi parę tygodni.

* Prof. uniwersytetu lwowskiego Dunikowski z gronem turystów wyjechał do Chicago. Do wyprawy należą: ksiądz rektor Kloss, artysta-rzeźbiarz Barącz, powieściopisarz Rogosz, prof. politechniki Dzieślewski, Dr Bujak, architekt Kłosowski i inni.

* Tadeusz Ajdukiewicz został wezwany telegraficznie z Wiednia do Londynu, dla wykonania portretu księcia Walii.

* Na wystawie portretów dziennikarzy XIX wieku, w Paryżu, w galerii Petit, figurują dwa wizerunki pędzla Andrzeja hr. Mniszcha. Jeden wyobraża Kamila Flammariona, drugi margrabiego de Thénimes. Krytyka francuska wyraża się o tych dwóch dziełach jedyne naszego dyletanta, który jest zarazem prawdziwym i niepospolitym artystą, z wielkimi pochwałami.

* Piotr Stachiewicz w roku bieżącym, po powrocie z letniej wycieczki, malować będzie dalszy ciąg obrazów, należących do cyklu »N. P. Maryja«, których pierwsza serya tak ogólnym, jednomyślnym uznaniem równie u recenzentów jak u publiczności, cieszyła się w Wiedniu. Echa tych pochwał dobiegają nas jeszcze w korespondencyach z naddunajskiej stolicy do czasopism i miesięczników niemieckich.

* Dziennik *The Chicago Tribune*, omawiając obrazy na wystawie, bardzo pochlebnie wyraża się o pracach polskich artystów. Gorące wyrazy uznania poświęca dziełom mistrza Jana Matejki, wymienia Wojciecha Gersona, A. Kędzierskiego, K. Alchimowicza i rozpisuje się w końcu wcale szeroko o Franciszku Żmurce, pomieszczając nawet reprodukcję jednej z jego główek kobiecych.

* Stanisław hr. Rzewuski w paryskim *Journal* pomieścił obszernie studyum o Guy de Maupassancie, którego portret dajemy w dzisiejszym zeszycie *Świata*.

* Rada miejska krakowska na posiedzeniu z d. 27 lipca olbrzymią większością głosów obrała przyszłym dyrektorem nowego teatru, p. Tadeusza Pawlikowskiego.

* Dobrze znana księgarnia w Tarnopolu, prowadzona dotąd pod firmą *Leopold Gilleczeł*, przeszła na własność pp. Jabłońskich, którzy pod firmą *bracia Jabłoński* dalej kierować nią będą. Ośmnastoletnie doświadczenie wymienio-

nych zdolnych pracowników, zdobyte w księgarniach tej miary, co zakłady: Gubrynowicza i Schmidta oraz H. Altenberga we Lwowie, tudzież Gebethnera i Wolffa w Warszawie, dają zupełną rękojmię, że nowa firma pomyślnie rozwijać się będzie, czego jej szczerze życzymy, pewni, że równie miasto Tarnopol, jak i okolica poprą gorąco ich inteligentne usiłowania.

* Stanisław hr. Rzewuski, napisał nową powieść w języku francuskim p. t. »Deborah«.

* Donoszą nam z Paryża, że p. Zygmunt Myrton-Michalski ma we wrześniu malować portret ex-ministra Constansa, na co otrzymał formalne zamówienie. Obecnie zaś maluje portret Karola Chincholle, współpracownika *Figara*. Wizerunek pani S. tegoż samego artysty, wystawiony w r. b. w *salonie* na Champ de Mars, zwrócił na siebie uwagę krytyki. Mamy na stole redakcyjnym wycinki z kilku nastu dzienników i czasopism paryskich, w których mieszczą się mniej lub więcej pochlebne wzmianki o pracy p. Michalskiego. Wszystkie, prawie jednomyślnie, zgadzają się, że malarz polski, a były uczeń Carolusa-Duran, w portrecie ostatnim wykazał dużo zalet technicznych, wielką łatwość i swobodę malowania, jakkolwiek upozowanie postaci wydaje się niektórym recenzentom nieco za sztywne.

* Wycieczka »Echa« po zdrojowiskach krajowych zapowiada się świetnie. Zarządy miejsc kąpielowych i delegaci »Szkoły ludowej« zajęli się szczerze urządzeniem koncertów »Echa«, tak, że dziś już porządek produkcji jest ustalonym. D. 2-go sierpnia koncertować będzie »Echo« w Truskawcu, 3-go w Rymanowie, 4-go w Iwoniczu, 5-go w Żegiestowie, 6-go i 7-go w Krynicy, 9-go w Szczawnicy, 11-go w Zakopanem, 12-go w Rabce, 13-go w Nowym Sączu a 14-go w Stryju. W program koncertów wchodzi utwory 30 polskich kompozytorów; uwzględniono także i ruskie kompozycje. Produkcje »Echa« poprzedzi wszędzie słowo wstępne, mające na celu poinformowanie zakordonowej publiczności o celach »Szkoły ludowej«, dla której to »Echo« czysty dochód z wycieczki przeznacza.

* Dnia 15 czerwca b. r. odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki w Akademii Umiejętności pod przewodnictwem prof. Dra Maryana Sokołowskiego. Prof. Łuszczkiewicz przedstawił 25 rysunków uczniów szkoły sztuk pięknych, dokonanych w czasie wycieczki do Mogiły oraz zdał sprawę z zabytków kościoła św. Bartłomieja. W założeniu planu tego kościoła drewnianego widzi obyczaj Cysterski i wskazuje zmiany, jakie zaszły w jego bu-

dowie, którą odnosi do r. 1466. Data i nazwisko cieśli budowniczego Macieja Mączki znajduje się na ozdobnym bocznym portalu rznętym w dębowym drzewie. W kościele klasztorным odrysowano jedną z kaplic bliźnich i piscinę z XIII wieku, kilka portali i nagrobków. Prof. Łuszczkiewicz złożył również komunikat p. Matiasa Bersona z Warszawy, objaśniony fotografiami i rysunkami, o starożytnej modrzewiowej synagodze w miasteczku Zabłudowie na Litwie. Dr Tomkowicz streścił obszerniejszą pracę swoją o t. zw. zamku Krzysztopor w Sandomierskiem, obwarowanym pałacem z XVII w. rezydencji Krzysztofa Ossolińskiego, brata kanclerza, a którego ruina dziś jeszcze świadczy, że był to jeden z najokazalszych świeckich gmachów w Polsce. Na świetność tę składała się nie tylko wielkość budowy, jej obronność i piękność architektonicznej kompozycji, ale także niezwykła ozdobność głównej fasady pałacu mieszkalnego, która była w górnych piętrach cała okryta ornamentacjami ze stiuku i barwnymi malowaniami, przedstawiającymi portrety osób znakomych, spokrewnionych z właścicielem pałacu, jakoteż odpowiednie alegorie, oraz napisy objaśniające na tablicach. Autorowi udało się zgromadzić wiele szczegółów, rzucających światło na dzieje gmachu oraz na mało znany żywot jego założyciela, a opis zamku objaśnił licznymi fotografiami. Pomiar dokonywane na ruinach przekonały, że plan budowli podany w dziele Pufendorfa jest dość dokładny. Dr Tomkowicz wyraził wreszcie zdanie, że tak, jak obwarowanie Krzysztopora należy do typu włoskiego t. j. przed-Vaubanowskiego, tak architektura pałacu powstała pod wpływem późniejszego włoskiego renesansu, nie brak w niej nawet pewnych analogii do Capraroli, pałacu ufortyfikowanego, który był ostatnim dziełem Vignoli.

BIBLIOGRAFIA.

«*La porcelaine*» par *Georges Vogt*. — Paris. Librairies-Imprimeries réunies. (Ancienne Maison Quantin). May et Motteroz, directeurs.

Książka powyższa, napisana przez dyrektora robót technicznych fabryki w Sèvres, mieści w sobie wielce nauczającą historię porcelany we Francji, w Europie i na Wschodzie. Można mieć żal, że wspominając o wszystkich, zapomniał o nas, chociaż mieliśmy: warszawską, korecką, śmielowską i baranowiecką, a nie które okazały wykonane w tych fabrykach należą do bardzo rzadkich, prawdziwie muzealnych... Ale cóż robić? To już dziś taka moda na Zachodzie, że się o Polsce nie pamięta! Po historii idzie bardzo sumienna charakterystyka i klasyfikacja wszelkiej porcelany, następnie opis przygotowywania glinki, kształtowania jej, wypalania, dekorowania i t. d. Całość, szczególnie dla lubowników zbierających i kolekcjonujących porcelanę, bardzo interesująca, zwłaszcza, że dzieło opatrzone jest wielce ciekawymi ilustracjami.

Alexandre Boutique. — «*Un fils du Quatre-vingt-neuf*». — Paris. E. Dent, éditeur. — 1893.

Mamy przed sobą najnowszy romans mało znanego u nas powieściopisarza francuskiego, który jednak posiada dużo talentu i ciszy się już w Paryżu wcale znacznym rozgłosem. Opowiadanie jego, bardzo żywe, nowoczesne i dramatyczne rozwija się, jak jaskrawo illuminiowana karta historii dni ostatnich. Tok zdarzeń płynie wartko i konsekwentnie. Postacie malowane szeroko, z niezaprzeczoną siłą, wysuwają się z tła wypukłe. W obserwacji bystrej dużo pesymizmu; większość charakterów nie dodatnia wcale, a jednak dzięki bohaterce, odwzorowanej z wielką wytwornością środków artystycznych, i paru sylwetkom niewieściom, stanowiącym z nią razem środkową grupę

obrazu, wieje z kompozycji pewna świeżość i poezja, jakiej nie znajdujemy w najnowszych powieściach francuskich, nie wyjmując arcydzieł. Słowem całość — pomimo pewnych drobnych usterek, o których w tak króciutkiej wzmiance wspominać nie warto — interesuje i może być nawet dla czytelników polskich, zajmujących się aktualnymi prądami socjalno-politycznymi, ślizgającymi się po błyszczącej powierzchni społeczeństwa francuskiego, lub nurtującymi w jego ciemnych głębiach, bardzo ciekawym dopełnieniem codziennej lektury dziennikarskiej. Znajdą tu rozwiązanie niejednej zagadki, jakiej im nie dadzą najlepsze wstępne artykuły tak paryskich jak i naszych gazet.

La peinture en Europe. — «*Le Musée national du Louvre*», par *Georges Lafenestre* et *Eugène Richtenberger*. — Tom w ósemce; 400 str. — Paris. Ancienne Maison Quantin. May et Motteroz.

Pod ogólnym tytułem «*La peinture en Europe*» («*Malarstwo w Europie*») podejmują pp. Lafenestre i Richtenberger publikację całej seryi katalogów rozumowanych dzieł najwybitniejszych, pomieszczonych w muzeach, zbiorach prywatnych, w gmachach publicznych i świątyniach, w celu oddania przysługi równie lubownikom sztuki jak i podróżującym. Tom, którym autorowie rozpoczynają tę nową bibliotekę artystyczną, poświęcony «*Muzeum w Luwrze*» («*Musée national du Louvre*»), czyni zadość założeniu w sposób doskonały. Zamiast opisywać obrazy w porządku numerów lub według układu, jaki tworzą rozliczne szkoły malarstwa, katalog wymienia płótna jedno po drugim, tak jak przedstawiają się oczom zwiedzającego, przechodzącego z sali do sali. Skoro widz jednak, ułożony według numerów i szkół, pozwala łatwo zorientować się i wyszukać wszystkie dzieła jednego i tego samego mistrza, tudzież miejsca, w których obrazy są zawieszone. Książka, wydana przez znaną zaszczytnie firmę May i Motteroz, drukowaną jest wykwintnie z wielką starannością. Sto reprodukcji fotograficznych, zdobiących ją, przedstawia poniekąd kwintesencję arcydzieł szkoły francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej, angielskiej, flamandzkiej, holenderskiej i niemieckiej. Jakie się mieszczą w zachwycających galeriach Luwru. Oprawa wytworna, format wygodny — dopełniają całości bardzo ładnej, bardzo pożytecznej i bardzo interesującej.

«*Charlet et son oeuvre*» par *Armand Dayot*. — Wytworne album in 4-o, mieszczące w sobie przeszło sto kompozycji. — Paris. Librairies-Imprimeries réunies (Ancienne Maison Quantin), May et Motteroz, Directeurs.

Wystawa dzieł Charleta, znakomitego rysownika i malarza, urządzona w Paryżu przez *la Société des artistes lithographes français*, w celu wzniesienia mu pomnika, dała asumpt zaszczytnie znanym w całym świecie wydawcom do opublikowania tego albumu. P. Armand Dayot, *inspecteur des Beaux-Arts*, powołany przez nich do współudziału w pracy, znakomicie się wywiązał z zadania. To nowe jego studium o «*Charlecie i jego dziełach*», zarówno biograficzne, jak i krytyczne, zapoznaje nas z chwałą i nędzą żywota malarza, który opiewał pędzlem i ołówkiem dzieje pierwszego cesarstwa, tudzież rewolucji lipcowej. A był to talent istotnie niepospolitej miary, interesujący zarówno wszystkich, tak rodaków swych, jak i obcych. Eugeniusz Delacroix porównywał go z Moliérem i La Fontainem, w utworach jego bowiem przy nucie heroicznej i epicznej, dźwięczy często także ton galijskiego żartu, komizmu i dowcipu, czyniących zeń nawskróś narodowo-francuskiego artystę. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że reprodukcje dzieł Charleta, jego: obrazów, litografij, rysunków sepiowych, ołówkowych, akwareli — przeważnie dotąd

nieogłoszonych — są znakomite, i że wybrano z 1100 utworów — jakie pozostawił po sobie — najciekawsze i najcharakterystyczniejsze.

«*Literatura dla młodzieży, jako czynnik wychowawczy w domu i szkole*». Napisał *Karol J. Nitman*. — Lwów. Nakładem H. Altenberga. 1893 r.

Jest to krytyczny przegląd wydawnictw dla młodzieży z kilku lat ostatnich, opracowany niezmiernie pilnie i starannie, umiejętnie i bezstronnie. Może on być doskonałą wskazówką dla matek, opiekunów i nauczycieli, jakie książki tak oryginalne, jak tłómaczone, wybierać mają dla swych dzieci, pupilów i wychowanków.

Julian Łętowski. — «*Stary mąż*». (Stary mąż. — Cierń. — Nasz stół. — Wicher.) — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Cztery nowelle, wymienione wyżej, składają się na tomik niewielki. Miłe te obrazki, nakreślone są wcale zręcznie i udatnie. Ludzie w nich, dobrzy i poczciwi, wypukłe i jasno rysują się na tle szarem powszedniego życia. *Kamil Flammarion*. — «*Niebo*». Przekład z francuskiego Dra M. Stefanowskiej. — Z licznymi rysunkami. — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892.

Jest to wykład pierwszych wiadomości o astronomii przybrany w popularną i udatną formę przystępną dla ogółu opowiadania. Książkę zdobią liczne ilustracje.

W. Łuski. — «*Wielki rok*». Powieść z niedalekiej przyszłości. — Księga II. «*Wojna Rosji z Austro-Węgrami*». — Lwów. Nakład autora. 1893.

Pierwsza część tego sensacyjnego utworu — znacznie większa rozmiarami od drugiej — wyszła z druku w roku ubiegłym i cieszyła się niemałym powodzeniem. Autor złożył w niej niezaprzeczony dowód talentu proroczo-naracyjnego. Książka obudziła duże zaciekawienie; — ale «im dalej w las, tem więcej drzew» mówi przysłowie, a tu tymczasem z natury rzeczy przedmiot — istota dzieła twórczego — zdaje się już wyczerpany. Wprawdzie las wyobraźni szybko i łatwo zarasta, ale z gęszczeniem tego rodzaju, jak «przyszła wojna» nie łatwo sobie poradzić; sama fantazja bez faktów i podstaw realnych nie jest w stanie utrzymać zajęcia w jednakiem naprężeniu. Dla tego też p. W. Łuski, w tym drugim tomie, buduje gmach przypuszczeń na fundamencie przeszłości, posilując się wielką — o ile profanom o tem sądzić wolno — erudycją w rzeczach i sprawach wojskowych i wojennych. Sama powieść w pierwszej części szeroko rozsnuta, tu porzucona zupełnie, cierpi na tem niemało; ale pomimo to «*Wielki rok*» czyta się z zajęciem, a obrazowość i język jaskrawy, barwny, niekiedy nawet jędrny i dosadny, posiada ciągle zalety malarskie, jakimi już poprzednio zajaśniał.

NEKROLOGIA.

* W Paryżu zmarł *Franciszek Duchński*, mąż znanej poetki, sam głośny niegdyś historyk i etnograf. Dzieła jego o pochodzeniu Rosyan zwróciły nań w swoim czasie uwagę uczonych francuskich, angielskich i włoskich. Wliczał on Moskali do szczepu mongolskiego (grupa uralsko-altajska), wykluczając ich z wielkiej słowiańskiej rodziny i wykazywał dowodnie, że kotlina Dniepru, rozdzielając dwie sprzeczne i walczące z sobą cywilizacje, jest też właściwą granicą Azji i Europy. Pozostawił wiele prac rękopiśmiennych, dotąd nie wydanych. Emigracja polska w Paryżu, przed ośmiu laty, skromnym obchodem uczciła jego półwiekową działalność. Cześć pamięci współziomka, który pracę całego życia poświęcił wyświeetleniu naukowej prawdy, dziś uznanej nawet przez wielu rosyjskich uczonych.